

FUNDACJA
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. W. Garbary 2, tel. 5-2. 1d6
87-100 TORUŃ

MEMORIAŁ
General Marii Wittek

adres syna:

Hubert Drapeła
05-822 MILANÓWEK

zdj. (kopia)

POW

AK
W-wa

++ 1981

DRAPEŁA Maria

zd. Ochlewska

ps. „Marta”

1303/WSK

++
SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — DRAPPELLA Maria
z d. Ochlewska
ps. „Marta”

I/1. Relacja ✓ k. 13, s. 1-13

I/2. Dokumenty (sensu ślicho) dotyczące osoby relatora ✓ k. 1, s. 1

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora

II. Materiały uzupełniające relację ✓ k. 13, s. 1-13

III/1 – Materiały dotyczące rodziny relatora

III/2 – Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r.

III/3 – Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945)

III/4 – Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r.

III/5 – inne...

IV. Korespondencja ✓

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓

VI. Fotografie ✓ reprodukcje 2 szt

I/1 Relacja

- Relacja sporządzona przez H. Drapelę [k.d.], mps, kopia, k. 10, s. 1-10
- Relacja sporządzona przez H. Drapelę [k.d.], mps, oryg., k. 3, s. 11-13



I

Maria /dla domowych i przyjaciół Mira/ Drapella z domu Ochlewska, ur.12.04.1902 z Józefa Ochlewskiego i Jadwigi z Konarzewskich, w Sieniawie, miejscowości położonej na pn.-wschód od Zwienigorodki i na pd.wschód od Kijowa.

Była najmłodsza z czworga rodzeństwa, najbliższej związana ze starszą siostrą, Haliną. Bracia byli starsi od obu: Józef i Tadeusz.

Umarła w Warszawie po ciężkiej, nieudanej operacji, 18.04.1981 r. Pochowana jest na cmentarzu Komunalnym Północnym /Wólka Węglowa/

Józef - Ojciec, ~~matka~~ pochodził z Kujaw, szkołę ukończył we Włocławku i wkrótce potem z całą rodziną wyjechał na Ukrainę, gdzie pracował w cukrowniach: w Olszanie, Sieniawie i Jeziernej, w tej ostatniej, własności Branickich z Białej Cerkwi, jako dyrektor. Ożenił się z panną Jadwigą ^(Konarzewską) w 1891 r./?/; może znał ją od dawna: w okolicy Gostynia /na pd.od Poznania/ mieszkała rozgałęziona rodzina Konarzewskich, których nazwisko wiąże się z budową kościoła - sanktuarium maryjnym i fundacją klasztoru Filipinów /przełom wieków XVII i XVIII/.

Mira uczyła się w Kijowie, mieszkając na pensji pani Pieret iatkowiczowej; tam zdała egzamin dojrzałości.

Jeździła dobrze konno; z przechwałką opowiadała, że konnej jazdy uczyła późniejszą mistrzynię Polski w jeździectwie, panią Zwierzchowską. Znano ją i lubiano w okolicy Jeziernej, jak całą rodzinę Ochlewskich, a objawiło się to w czasie groźnym: gdy bandy rzekonych komunistów w początkowym okresie rewolucji napadały na dwór dyrektora cukrowni, niczego nie zrabowały, nie splądrowały, nie spaliły; raz w czasie nieobecności Józefa - seniora postawiono kobiety pod murem i strzelano im nad głowami, innym razem wyniesiono meble, sprzęty z domu, ułożono w wielkiej piramidzie na podjeździe, a na szczycie umieszczono siodło Miry.

Napady te ominęły obydwu młodych Ochlewskich, studiujących w Petersburgu.

Trudno mnie, synowi, opisywać, czy oceniać usposobienie, charakter Matki. Pamiętam, że uchodziła za samodzielną, energiczną. Kochała psy. Już za mego życia, z pistoletu dziadzia Józefa zastrzeliła ukochanego pieska, chorującego na nosówkę; przeżyła to bardzo, często wspominała, ale ona jedna miała odwagę skrócić cierpienia małego przyjaciela.

II

Dziadzio Józef opuścił Ukrainę i wyjechał z rodziną do Polski. Zatrzymali się na krótko we Lwowie. Mira z bratem, Tadeuszem, konspiracyjnie pracowała w P.O.W.; wiele lat potem uhonorowano ich za to: Tadeusza Krzyżem, Mirę - medalem Niepodległości.

Najstarszy z rodzeństwa - Józef jr., inżynier, ożenił się z panną Wandą Appel z górnośląskiej, inżynierskiej rodziny. Wyjechał wraz z żoną do Wiesbaden, do Niemiec, jako jeden z członków komisji; realizowali odszkodowania wojenne, "reparacje".

Zapraszał do siebie młodszą z siostr, Mirę. Starsza siostra, Halina, wyszła za mąż za Romana Galskiego, bogatego kupca zbożowego z Grodna. Zamieszkali w Warszawie przy ul. Zielnej w obszernym, pięknie urządzonej mieszkaniu. Wyjeżdżali do Włoch. Mira i tam była zaproszona; tak więc dzięki bratu i siostrze jeszcze przed wyjściem za mąż wojażowała.

Małżeństwo Hali nie było udane. Już w kilka lat później zamieszkała z Rodzicami i bratową; Roman odwiedzał ją rzadko i na krótko.

Józef jr. z żoną wrócił do Suchej. Urodził im się syn. W parę miesięcy później rozchorował się na tyfus. Umarł.

W tym samym 1923 roku, Mira wyszła za mąż za mieszkającego w sąsiedztwie Włodzimierza Drapella, oficera II-ej brygady legii nowiej, a wcześniej - studenta wyższej szkoły handlowej w Wiedniu. Ślub ich odbył się w Górze Kalwarii w listopadzie. Młoda para wyjechała do Torunia, gdzie Włodzimierz dostał pracę urzędnika kolei państwowej. Trwało to dość krótko, bo już w 1925 roku obaj byli w Brwinowie pod Warszawą. Tam Józef-senior z Babcią Jadwigą, synową Wandą i jej synkiem oraz z Halą zamieszkał w wynajętym domu stojącym na dużej parceli; "posiadłość" ta miała zastąpić dwór i park w Jeziernej.

Drapellowie zamieszkali w wynajętym mieszkaniu przy tej samej ulicy - osobno, ale chyba z przyczyn natury technicznej: dom Dziadziów nie był zbyt obszerny.

Obaj mężczyźni: Józef i jego zięć, Włodzimierz, dojeżdżali do Warszawy, gdzie pracowali obaj w Banku Cukrownictwa. Jeździła z nimi ~~Wanda~~ Wanda, zatrudniona w Banku Angielsko-Polskim; mimo że miała dyplom po ukończonych studiach /przyrodniczych, fizycznych?/, musiała podjąć pracę jaka się nadarzała.

Mira urodziła syna, jedyne swoje dziecko, w październiku 1925 roku.

W 1932 roku, kiedy obu nam, synowi Wandy - Andrzejowi i mnie pora była do szkoły, rodzina postanowiła przenieść się do

Warszawy. Całą, wielopokoleniową rodziną zamieszkaliśmy, wygodnie, na kolonii Lubeckiego, najpierw przy ul. Uniwersyteckiej, na rok, potem przy ul. Pługa, tuż obok. To drugie mieszkanie pamiętam już dobrze, jego rozkład, sprzęty, meble, a przede wszystkim rodzinne obiady, kolacje, przyjęcia, domowe kartograjstwo, radio zasilane baterią anodową ogromnych rozmiarów, choinki pod sufit, świątne jedzenie, którego dopilnowywała Hala, Mira zawiadywała kasą "Kotła", Wanda i panowie - przynosili pieniądze. Było nas wtedy wiele osób: Dziadziowie, Wanda z synem Andrzejem, Hala i moi Rodzice ze mną, a prócz tego i służąca.

Dziadzio Józef umarł w 1936 roku. Rodziny nie stać było teraz na wielkie mieszkanie. Przeprowadziliśmy się na Żoliborz, do nowozbudowanego domu przy ul. Krasińskiego 29, do dwóch mieszkań: Wanda z Andrzejem osobno, Rodzice z Babcią i ze mną we frontowym skrzydle tego domu. Hala wyjechała do Rabki, gdzie prowadziła dom wypoczynkowy dla podoficerów Korpusu Ochrony Pogranicza. Pracę dostała dzięki przyjacielowi rodziny, mjr-owi Koperskiemu. Tadeusz, brat Hali i Miry, mieszkał w Warszawie w ogromnym, pełnym dzieł sztuki, obrazów, rzeźb, pięknych mebli, mieszkaniu swej teściowej, Stanisławy Wysockiej, matki Janiny Ochlewskiej, klawesynistki i pianistki. Tadeusz wówczas był skrzypkiem w orkiestrze Filharmonii, działał w ORMUZ-ie/Organizacja Muzyczna/, później założył i kierował nim/Towarzystwo Wydawnicze Muzyki Polskiej.

Halina w 1937 roku uzyskawszy status separacyjny wyszła za mąż powtórnie za Bronisława Kostrza, podoficera K.O.P-u. Zamieszkali w blokach wojskowych usytuowanych przed murami Cytadeli Warszawskiej.

Niedługo przed wybuchem wojny Mira ukończyła jakieś kursy L.O.P.P. i ~~...~~, jako propagatorka właściwych działań w razie ataków lotnictwa nieprzyjacielskiego i udzielania pierwszej pomocy ofiarom nalotów, występowała z krótkimi "wykładami" przed seansami w warszawskich kinach.

III

Ojciec mój dostał wojenny przydział na Okęciu, jako komendant placu na lotnisku, z jednoczesnym awansem na stopień majora. Zgłosił się na Okęciu, ale tam Go nie przyjęto "z braku zajęcia". Poszedł więc na Cytadelę, do swego macierzystego 21-go pułku piechoty, w którym odbywał ćwiczenia jako rezerwista.

Okazało się, że pułk już jest "w polu"; dano Ojcu niejasne wskazówki, gdzie znajdzie, zapewne, dowództwo pułku: miało to być na wschodzie kraju. Odprowadziliśmy Ojca na wiadukt nad Dworcem Gdańskim. Dalej poszedł już sam, wmieszał się w sznureczek mężczyzn z walizeczkami, którzy, poganiani apelem radiowym pułkownika Umiastowskiego, szli na spotkanie swego wojennego losu.

W parę dni potem przyszlismy z Mirą pod wojskowe bloki przy Cytadeli: Hala została sama, bo jej mąż, Bronek, od 1-go września był gdzieś na froncie, a Cytadela Niemcy nekali nalotami. Na dziecinny drabiniasty wózek załadowaliśmy najpotrzebniejsze Hali rzeczy i powędrowaliśmy, już we troje, na Krasińskiego. Ledwie doszlismy do ulicy generała Zajączka, gdy huknęły działa p-łot, stojące w rzadkim lasku kilkadziesiąt metrów od jezdni. Puste łuski dźwięczały tocząc się po kamieniach.

Hala zamieszkała z nami. Znowu było "jak zawsze": obie siostry razem.

Początki okupacji były trudne, chyba dla wszystkich. Żyliśmy też w sporej biedzie, głodni. Póki Warszawa się broniła, stojący obok, u Sióstr Zmartwychwstanek, oddział konnej żandarmieri dożywił nasz blok mieszkalny. Hala z Mirą uczestniczyły w gotowaniu kotłowej zupy dla mieszkańców. Ale potem, gdy już było dla nas po wojnie, bieda przycisnęła.

Ojciec wrócił dopiero po 10-ym października; prawdę mówiąc, tracił nadzieję. 21-go pułku nie dogonił i gdzieś, spod Łucka, czy Równego wracał śpięsznie, by ujsć przed wschodnim zaborcą. Droga powrotna była jednak trudniejsza: w kraju przeorany wojną. Zastał u nas Ciocię Milę, swą siostrę, z synami; wrócili właśnie z tułaczki i nie mieli gdzie mieszkać, bo Niemcy zajęli wojskowy blok mieszkalny na Koszykowej, gdzie Wuj Tadeusz dostał mieszkanie, chyba w 1937 roku. Teraz wędrował dalej na południe, do Rumunii; major, z-ca komendanta Wojskowego Instytutu Geograficznego nie powinien dostać się do niewoli. Po kilku dniach dołączył do nas brat Ojca, Stanisław i tak, w liczonym gronie, biedowaliśmy pierwsze tygodnie, osłupiające, straszne tygodnie - bez państwa polskiego.

Ojciec wrócił do pracy w Banku Cukrownictwa. Zarobki nie wzrosły, a ceny, zwłaszcza żywności - conajmniej o 300 procent! Jadaliśmy kartofle, a na drugi dzień obierzyny z tych kartofli, Hala przyrządzała flaczki z płatków owsianych, piło się herbatę "rumową" i słodziło sahariną, kapusta trafiała się rzadziej, mięso - od wielkiego dzwonu.

Babcia Jadwiga jeździła do Otrębus, najczęściej sama; miała tam

Milka, czy kilkanaście uli u gospodarza, znajomego jeszcze z brw-
nowskich czasów. Miała też działkę niedaleko naszego domu; na
tym terenie ogródków działkowych wyrosły po wojnie mieszkalne
wysokie domy i cała dzielnica projektowana przez Piechotków.
Babcia uprawiała na działce trochę jarzyn, rosły drzewa owocowe,
maliny, truskawki. I tutaj pomagaliśmy rzadko.

prof. EZ 1

Od października 39-go roku i Andrzej, i ja, zostaliśmy zwer-
bowani do konspiracyjnej roboty przez naszego harcerskiego inst-
ruktora, porucznika artylerii Andrzeja Rudnickiego. Artylerzysta
szczył się zestrzeleniem niemieckiego samolotu, który nurkował
na jego baterię; nie było przyrządów celowniczych, celował więc
nasz porucznik "po lufie" i trafił! Nasza praca wyklarowała się
prof. EZ 1
rychło: Andrzej został szefem mokotowskiego obszaru wywiadu wojs-
kowego, a ja, jego podwładnym.

Babcia Jadwiga zaziębła się w kolejnej wyprawie do swych
ukochanych pszczoł, wywiązało się zapalenie płuc. Antybiotyków
jeszcze nie było. Umarła 1-go lipca 1941 roku. Pochowaliśmy ją
na Powązkach wojskowych; o transporcie do Krakowa, do rodzinnego
grobu Ochlewskich na Rakowicach, nie było mowy!

prof. EZ 1

Nie potrafię określić daty, kiedy bieda dokuczyła nam naz-
byt, kiedy jakbyśmy przestali wierzyć, że najbliższej wiosny...
Raptem sporo ludzi z naszego otoczenia zabrało się do jakichś
interesów: a to roboty na drutach, napełnianie tytoniem "tutek"
papierosowych, produkcja siatek, koszyków, handel, czym się tyl-
ko dało. Hala i Mira zabrały się do wypieku ciastek i pasztetów.
Jechały w poniedziałek na Pragę, gdzie pod czujnym okiem okupant-
chłopi sprzedawali białą mąkę /wg praw - groziła za to kara śmie-
ci/, wieprzowinę /kara śmierci/, tłuszczę /kara śmierci/. Bywało,
że jakiś "radykał" z SA, czy SS doprowadził sprzedawcę i kupujące-
go do wywózki na roboty do Reichu, częściej jednak kończyła się
wpadka uwięzieniem na Gęsiówce, w koncentracyjnym, "doraźnym"
obozie warszawskim, zwyczajnie zaś niespodziewana kontrola ~~ka~~
groziła wymianą dóbr: za łaskę - gęś albo kawał świnia.ka.
Mirze i Hali jakoś się udawało, nie wpadły ani razu. Wracaly ob-
ładowane, nastawiały gary. We wtorki było kręcenie, pieczenie,
we środy - rozwożenie produkcji po znajomych. A od czwartku cykl
nowy się rozpoczynał. Od tych wypieków dom zyskał nie tyle gotów-
kowo, co towarowo: mąki i mięsa zostawało nieco na domowe potrze-
by.

Wkrótce i Ojciec mój zaczął handlować i "operować" na bankowej
giełdzie papierów wartościowych i kosztowności. Głodu już nie
było, wiązaliśmy koniec z końcem.

Chyba w tym czasie pojawiło się w domu ogromne tomisko: luksusowo wydane dzieło Jarry'ego "Król Ubu." Mira i Hala czytywały tę książkę dość chaotycznie: zastawiałem tom otwarty to na stronach końcowych, to znów początkowych.

Teoretycznie nie mówiło się w domu o konspiracji, ale trudno był udawać zaskoczenie, czy raczej zdziwienie, kiedy ~~zostaliśmy~~ w pokoju w którym spotkaliśmy się z kilkoma kolegami, raptem huknął strzał. Złe renowowany pistolet wystrzelił koledze właśnie wtedy, gdy inne rewolwery i pistolety rozebraliśmy na cząsteczki. Mira wpadła, nie zdążyliśmy zaskonić broni, otworzyła okno i wyganiała dym po wystrzale. Sąsiedzi na dole byli "swoi", a mieszkający nad nami "kapitan wojsk carskich" /taki miał tekst na wywieszono na drzwiach wizytówce/, słabo słyszał.

W drugiej połowie roku 1942 Andrzej, mój szef z wywiadu, wyszedł po południu i nie wrócił na noc, co nie zdarzało się nigdy. W nocy zawyły syreny: nadleciały sowieckie samoloty i, jak to już bywało, zrzuciły bomby gdzie bądź na miasto. Zdarzyło się, że najwięcej ofiar /podobno około 200 osób/ było na Żoliborzu, zburzonych kilka willi, uszkodzonych kilka domów. Następnego dnia Mira chodziła po okolicy i szukała Andrzeja wśród zabitych. Minęło kilka, czy kilkanaście dni - bez wieści od, czy o Andrzeju. Stałem w oknie. Do klatki schodowej, gdzie było mieszkanie Wandy i Andrzeja, zdążyło dwóch panów ubranych w skórzane płaszcze; na głowach mieli kapelusiki z kusymi rondami, a za wstążki na tych kapeluszach zatknięte myśliwskie szczoteczki. Kiedy pojawili się w otwartym oknie mieszkania Wandy, jeden siadł przy biurku, drugi otworzył szafę; cofnąłem się do wnętrza i powiedziałem do Ojca: "To ja już pójde". Od tej pory bywałem w domu rzadko, nocowałem jeszcze rzadziej. Przychodzili do mnie dwa razy. Za pierwszym razem dziwili się, że Ojciec, prokurent banku, mieszka tak skromnie, za drugim przeszli przez mieszkanie, zajrzeli do szaf, nie powiedzieli ani słowa i wyszli. Mira, rozjuszona, wybiegła za nimi na schody i przechyliła się przez poręcz. ~~XXXXXX~~ "Czego panowie szukali?" Nie zatrzymali się, tylko jeden z nich odburknął odwracając głowę do Miry: "Dumme Fragen."

Tak więc i Andrzej i ja byliśmy odtajnieni. Hala i Mira nie dość pilnie kryły przede mną kartki z wyciętymi "okienkami" - szablonny do szyfrowania, potem całe strony zapisane długimi kolumnami liczb świadczyły o postępach w nauce szyfrowania.

Andrzej po roku odsiadki w izolatce na Pawiaku, został wywieziony do Majdanek, a gdy Sowieci zbliżali się do granic Gu-

berni, do Gross Rosen.

Dotrwaliśmy do Powstania.

Wychodząc przed godziną "W" pożegnałem się z Mirą w mieszkaniu Tadeusza, Jej brata, gdzie mieszkałem ostatni rok. Wiedziałem teraz tyle, że od dziś będę mógł Ją znaleźć przy dowódcy Mokotowa, "Karolu". Potem dowiedziałem się, że miała stopień porucznika i szefowała służbie łączności - kobiecej, przy pułkowniku.

Hala była już w Komendzie Głównej, przy "Monterze". Tego dnia wieczorem zaszyfowała pierwszą depesze do Londynu: o wybuchu Powstania.

W początku września trafiłem do Śródmieścia i w ciągu kilku dni, zakwaterowany w gmachu poczty przy ul. Świętokrzyskiej, spotykałem się z Hala wielokrotnie. Mira kursowała kilka, może kilkanaście razy między Mokotowem a Śródmieściem, większość trasy idąc kanałami. Raz, wracając bez przewodnika, wyszła z kanału daleko za liniami niemieckimi; wróciła do swoich. Nosila pocztę, prowadziła grupy transportujące żywność, broń, amunicję, raz także radiostację. Kiedy byłem na Czerniakowie dwukrotnie wymienieniem listy z Mirą, korzystając z tego, że łącznik z Mokotowa przychodził kanałami do "Radosława", czy "Kryski".

Kapitan "Wania" z Mokotowa został wysłany na drugą stronę Wisły, dla uzgodnienia działań z dowództwem Wojska Polskiego. Mira prosiła go, by, jeśli mnie zastanie na odcinkach przy brzegu, ~~gdzie~~ którądy będzie przechodził, przekazał mi Jej pozdrowienia, wieści, że jest zdrowa. Natknął się na mnie przypadkiem: w piwnicy domu, gdzie mieściło się dowództwo oddziałów 9-go pułku, które przepływały na naszą stronę, leżałem ciężko ranny. Poleciał zabrać mnie na drugą stronę rzeki. Od kolegów, którzy po upadku pozycji kanałami przeszli na Mokotów, ^{Mira} dowiedziała się, że jestem ranny; nie wiedzieli jednak, że zabrano mnie na praską stronę.

Na polecenie "Karola" nie odeszła do niewoli. Lekko ranna w głowę, dotarła z cywilami do Pruszkowa. Stąd Niemcy wysłali Ją kolejowym transportem do Reichu, na roboty. Uciekła w Piotrkowie. Odnalazła mieszkającą tam naszą rodzinę. ~~Od razu~~ Nieoczekiwanie spotkała mego Ojca, który z Pruszkowa, dzięki fałszywej diagnozie lekarzy, jako gruźlik, został odesłany "gdziekolwiek" do Gubernii; trafił do domu rodziny w Piotrkowie. Oboje dostali się do Krakowa, gdzie doczekali wyjścia Niemców.

Hala po Powstaniu znalazła się w obozie oficerskim, w końcowej fazie wojny, po licznych przeniesieniach, końca wojny doczekała w obozie pod Lubeką. Nawiazała listowny kontakt z Bronkiem,

swym mężem. Broniek zdecydowanie odmówił powrotu do kraju; został w Anglii. Hala w obozie spotkała serdecznego przyjaciela naszej rodziny, Franka Jamka-Koperskiego.

IV
 prof. EŻ | Gdy tylko nadarzyła się możliwość jechania do Warszawy, Mira wybrała się w trudną, zimową podróż, by mnie odszukać. Przez "Trys", towarzyszkę niedoli ze szpitala w Lublinie, przekazałem do swego domu na Krasińskiego wiadomość, gdzie jestem. Mira trafiła na tę informację /notatkę na drzwiach, wypisaną cegłą - mieszkanie było zniszczone/ dopiero wówczas, gdy przeszła po śladach ~~mojego pobytu~~ ~~mojego pobytu~~ w piwnicy przy ul. Solec. Leżało tam kilkadziesiąt zwęglonych trupów. Ludzie z domów okolicznych robili Jej nadzieję? ~~Wła~~ jakaś część rannych przedostała się na praską stronę. Tam trafiła do księdza, który odwiedzał nasz polowy szpital i udzielał mi Sakramentów. Rozpoznał mnie na zdjęciu, które mu Mira pokazała. I tak, trafiła wreszcie do Lublina, do szpitala. Po kilku dniach starań o ~~transport~~ transport, zdecydowała, że pojedziemy pociągiem do mostu na Sanie przed Rozadowem. Podróżowaliśmy koleją, łodzią przez wezbrany, pełen groźnej kry San, saniami, znowu koleją i wreszcie, ciężarowym samochodem, z postojami w Przeworsku, w Tarnowie - razem dziewięć dni/ do Krakowa. Podróż nie tylko, że była urozmaicona, ale też niebezpieczna: w podążu trafiliśmy na Rosjan, którzy nie chcieli pogodzić się z faktem, że młody, zdolny do noszenia broni człowiek, umyka pod opiekę "mamuski" z racji byle jakiego ranienia; chcieli mnie zabrać do Lwowa, na stronę rosyjską. Poza tym, trasa, w opinii miejscowych, obfitowała w okazje do spotkania z różnymi handami... Spotykaliśmy ludzi bliskich, przyjaznych, pomocnych, i długość, trwanie tej peregrynacji spowodowała moja ropiąca rana, gorączka; po prostu byłem do niczego.

prof. EŻ | Po krótkim pobycie w Krakowie, Ojciec dostał propozycję pracy we Wrocławiu. Pojechał ~~ledwie~~ ledwie że Niemcy Wrocław opuścili. Zamieszkaliśmy tam jesienią tego roku. Mira nawiązała korespondencję z Halą. W 1946 roku siostry znowu były razem. Hala przyjechała razem z Frankiem. Zamieszkali z nami, potem, na krótko, osobno, kiedy obaj poprzedni mężowie Hali umarli, i Broniek z Halą wzięli ślub.

Andrzej, uwolniony z obozu w Gross Rosen, wędrował na zachód, ale nie dość szybko, by uciec przed postępującą Armią Czerwoną. Przez Kraków trafił do Wrocławia. Zamieszkał w tej samej dzielnicy razem z Wandą.

Dom na Kasprowicza na kilka lat stał się namiastką rodzinnego domu z Pługa, z Brwinowa, jak w przeszłości zbierał blis-

kich na Święta, na rodzinne uroczystości.

prof. LZ | Po ukończeniu studiów we Wrocławiu w 1948 roku, wyjechałem do Łodzi i nie byłem świadkiem wydarzeń domowych, które wszystkimi wstrząsnęły. Hala i Mira, nie wiem kiedy, nawiązały kontakt z oficerami polskiej armii przedwojennej i konspiracyjnej. Zjawił się u nas major /?/ Tyski, bywał z rzadka płk. Sanojca, chyba nie tylko z towarzyskich okazji: z Londynu nadchodziły pieniądze z wyraźnym przeznaczeniem. Chodziło o wspieranie ludzi zapomogami, czy stypendiami. Nie brałem udziału w tej robocie, nie wiele o niej wiedziałem. Raz, czy dwa razy towarzyszyłem Mirze w Jej podróżach do Łodzi, do Krakowa, dokąd woziła pieniądze pod wskazane adresy. Jak powstawały listy osób otrzymujących wsparcie finansowe, kto zdobywał adresy potrzebujących - nie mam pojęcia. W domu na Kasprzowicza rozpoczęła dyżury w bibliotece prywatnej, tak zorganizowanej, że chyba tylko dla pokrycia działalności nielegalnej, pani Helena Sieleżyńska. Nie pamiętam, kiedy, pani Helena została nawiązana przez ~~Władysław~~ bezpiekę, aresztowana i z wyrokiem siedmioletnim osadzona w więzieniu w Fordoni. Dotrzymała tajemnicę: nikt po niej nie został aresztowany. prof. LZ | Hala i Mira z naszą pomocą ukryły wszystkie dokumenty swej działalności: zostały zamurowane.

Kiedy w 1948 roku na krótko znalazłem się w więzieniu, podczas wielogodzinnych przesłuchań nie pytano mnie ani razu o Hala i Mirę, nie wiadano o ich konspiracyjnej działalności.

Ojciec zmarł w 1956 roku, kiedy mieszkalem i pracowałem już w Łodzi.

W kilka lat potem zmarł też i Franek, mąż Hali.

prof. LZ | Obie siostry zostały same. Hala wkrótce rozchorowała się ciężko, Mira doglądała Jej póki miała siły.

prof. LZ | W tym czasie mieszkalem już w Warszawie i zacząłem robić starania o odzyskanie mieszkania Francka, mieszkanie spółdzielcze w 3/4 zajęte przez kwaterunkowych lokatorów. Zamieszkaliśmy w jedynym wolnym pokoju, a po trzech latach jedna z lokatorek wyraziła zgodę na zmianę mieszkania i moja żona uzyskawszy pożyczkę w firmie, gdzie pracowała, mogła wykupić drugi z pokoi w zamian za kupno mieszkania dla lokatorki. W 1973 roku można było sprzedać dom we Wrocławiu i obie Panie: Mira i Hala zjechały do Warszawy. Minęło osiem lat od kiedy zapieczętowałem z żoną w lokalu spółdzielczym po Franku, kiedy udało nam się wykupić pozostałe dwa pokoje i mieszkanie dla dwojga starszych lokatorów. Objęliśmy całe mieszkanie. Było w okropnym stanie, trzeba je było remontować, z tynkowaniem i przestawianiem ścian włącznie!

Końca remontu Hala już nie doczekała. Umarła 11. lipca 1974 roku. Została pochowana przy Babci Jadwidze na cmentarzu wojskowym na Powązkach.

Mira już wtedy była w bardzo złym stanie zdrowia; cierpiała na stwardnienie rozsiane, chodziła coraz gorzej, odmawiały posłuszeństwa i dłonie. Po kilku latach nieoczekiwanie odezwała się zadawniona choroba wrzodowa. Nastąpił krwotok. Mimo natychmiastowej operacji, po miesiącu leżenia w szpitalu, umarła 18. kwietnia 1981 roku. Pochowaliśmy ją na komunalnym "cmentarzu północnym".

prof. EŻ | Pisząc o Mirze - "Marcie" pisałem właściwie o obu Siostrach. Losy Ich tak się splotyły, że tylko krótko w 1938-9 i po Powstaniu nie mieszkały pod jednym dachem. Hala była bezdzietna i dlatego, zapewne, poświęcona rodzinie, nam, dwóm siostrzencom.

Po powrocie z obojgu Hala dla swego męża została do końca "Anną", tak mówili do Niej Jej nowi znajomi, pseudonim wyparł Jej imię "prawdziwe".

Żeby Jej dane były pełne, dodaję, że urodziła się 14. lipca 1897 roku jako trzecie dziecko /po dwóch braciach/, pięć lat przed urodzeniem się Miry, ostatniej z rodzeństwa.

Kiedy odwiedzam Ich groby, żałuję, że nie zadbałem o jakieś zasygnalizowanie ważkich patrystycznych działań i Hali, i Miry, choć nie sądzę, by były kobietami niezwykłymi. Dziś, wspominając Ich przyjaciół, Ich pokolenie, mogę powiedzieć, że chyba wszyscy Oni tacy byli: wierni wpojonym sobie zasadom, czynni, warci upamiętnienia.

Fotografie, rodzinną korespondencję, niektóre dokumenty obydwu Sióstr przechowuję. Część tych materiałów wykorzystaniem opisując dzieje naszej rodziny i przygody swego życia. Spora objętość i nieatrakcyjność tej pracy dla dzisiejszego czytelnika dyskwalifikuje ją na rynku wydawniczym; pozostawiam ją dla rodzinnych tradycji, jak pewnie robi wielu z mego pokolenia.

Hubert Dąbrowski

prof. EŻ | - oznaczyła prof. E. Ż.

Ochlewska, od 17. listopada 1923 roku - Drapella, Maria, nazywana Mirą, pseudonim "Marta".

Urodzona 12. kwietnia 1902 roku w Sieniawie /za Kijowem/, córka Józefa i Jadwigi z Konarzewskich.

Ojciec, Józef wraz z rodziną wyjechał z Kujaw po konfiskacie majątku /za udział w Powstaniu 1963, pewno jego ojca/na Ukrainę. Pracował w cukrowniach. Ożenił się w 1892 roku/?/z Jadwigą z Konarzewskich. ~~Właściciel~~ Józef senior - pracował w Olszanie, Sieniawie i ostatnio w Jeziernej, jako dyrektor cukrowni, koło Białej Cerkwi, majątności Branickich.

Relację spisuje J. Hubert Drapella, syn Miry, "Marty", zamieszkały w Milanówku - 05-822, przy ul. Podgórznej 17 A, tel. 7583715. Mira ukończyła szkołę średnią i zdała maturę w Kijowie, mieszkając na pensji pani Pieretiatkowskiej.

Wraz z rodziną wyjechała do Polski chyba w roku 1918. Zatrzymali się na krótki /paromiesięczny ?/ okres we Lwowie. Wówczas wraz ze starszym o osiem lat bratem, Tadeuszem, zaangażowała się do pracy w P.O.W. Odznaczona za to Medalem Niepodległości.

Z rodziną zamieszkała w Suchej Beskidzkiej, gdzie Ojciec Józef pracował jako zarządzający dobrami suskich Branickich.

Tam poznała Włodzimierza Drapella i w 1923 roku wyszła za niego za mąż.

Po około rocznym pobycie w Toruniu, gdzie Włodzimierz pracował na kolei, przyjechali do Brwinowa. Zamieszkali w sąsiedztwie Rodziców Miry. Włodzimierz zaczął pracę w Warszawie, w Banku Cukrownictwa, u boku swego teścia.

W 1925 roku, 2. października urodził im się syn, Jerzy Hubert.

W 1931 roku wraz z rodziną wyjechała do Warszawy. Zamieszkali początkowo, na rok, przy ul. Uniwersyteckiej, potem do 1936 roku, przy ul. Pługa 1/3.

Gdy Ojciec Józef umarł, przeprowadzili się na Żoliborz, do bloku przy ul. Krasińskiego 29 /m. 52/.

Tuż przed wybuchem wojny zaangażowała się i ukończyła kurs przygotowujący ją do pouczeń na temat obrony przeciwlotniczej, przeciwgazowej i pomocy rannym, czy zatrutym gazami bojowymi. W warszawskich kinach, przed seansami, wygłaszała krótkie pouczenia dla widzów.

W kampanii wrześniowej ani społecznie, ani w obronie cywilnej nie była czynna w sposób zorganizowany. Pomagała w żywieniu mieszkańców swego bloku i pomagała w lokalnych akcjach gaszenia pożarów, wybuchających wskutek niemieckich nalotów.

Przez cały okres, do sierpnia 1944 mieszkała w w/w mieszkaniu!

razem z mężem i synem, Matką Jadwigą /umarła 1. lipca 1941 r. ^{na}
✓ zapalenie płuc/ i Haliną, siostrą, która we wrześniu 1939 roku
sprowadziła się do nas z Cytadeli, z wojskowych bloków, gdzie
ostatnio mieszkała.

Od 1942 roku /?/ razem z siostrą zaczęła wypiekanie pasztetów
i ciastek, by wyżyć.

Od lutego 1942 roku zaczęła pracę w konspiracji. Okończyła kurs
szyfrancki. Żadnych danych na temat Jej pracy konspiracyjnej,
zwierzchników, przydziałów - nie mam. Wiem jedynie, że w kursach
szyfranckich towarzyszyła swej starszej siostrze, Halinie/"Annie",
W czasie Powstania Warszawskiego przydzielona do służby kobiet
przy dowódcy Mokotowa, płk-G "Karolu", Józefie Rokickim.
Wielokrotnie kanałami przenosiła pocztę do Śródmieścia i z powro-
tem, w K.G. kontaktowała się z siostrą Haliną - "Anną", prowadzi-
ła portatorów z radiostacją, żywnością, bronią, amunicją.
We wrześniu lekko ranna w głowę.

Na polecenie dowódcy, "Karola", wyszła z Powstania wraz z cywila-
mi. Z pruszkowskiego obozu wysłana transportem na roboty do Rze-
szy. Uciekła w Piotrkowie i w domu bliskiej rodziny Ojca spotka-
ła się z mężem, Włodzimierzem, z którym zamieszkała w Krakowie
do końca wojny i do jesieni 1945 roku, kiedy to wraz z mężem
i synem zamieszkała we Wrocławiu, początkowo przy ul. św. Wojciecha,
a potem, aż do roku 1973 przy ul. Kasprowicza 30.

Z Jej bliskich w konspiracji była Jej siostra, Halina "Anna",
w czasie Powstania szyfrantka przy "Monterze",
siostreniec, Andrzej Ochlewski, pseud. "Truteń", szef mokotowskie-
go wywiadu wojskowego, aresztowany w sierpniu 1942 roku,
i Jej syn Hubert, pseud. "Zawilec", początkowo w wywiadzie, po
aresztowaniu Andrzeja Ochlewskiego, swego szefa w wywiadzie,
ukończył podchorążówkę rezerwy piechoty i w stopniu kpr. podch.
szkolił swą drużynę aż do wybuchu Powstania.

Nie wiem od kiedy, ale nie wcześniej, niż w roku 1946, wraz
z siostrą Haliną "Anną" zwerbowana do pracy konspiracyjnej, prze-
kazywała pieniądze nadchodzące z Londynu dla młodych, zwłaszcza,
ludzi. Bezpośrednim zwierzchnikiem był major Tyski. Ale bywali
u nas w domu, w tym czasie, również płk. Sanojca i major "Rysia",
zwierzchnik "Anny" z Powstania, chyba również współtowarzyszka
✓ obozowa. Może na skutek aresztowania pani Heleny Sieleżyńskiej,
współpracującej w tej akcji, może z innej przyczyny, praca ta
została przerwana, chyba w 1948-9 roku.

Mieszkała we Wrocławiu do czasu, gdy po śmierci swego męża i mę-
ża siostry nie miała już siły zajmować się chorą "Anną".

Obie wówczas, w 1973 roku przeprowadziły się do Warszawy 15 gdzie
mieszkały przy ul. Łowickiej 51 m.42 u syna, Huberta.

do mieszkania odziedziczonego po mężu "Anny", Franciszku Jamka-Koperskim.

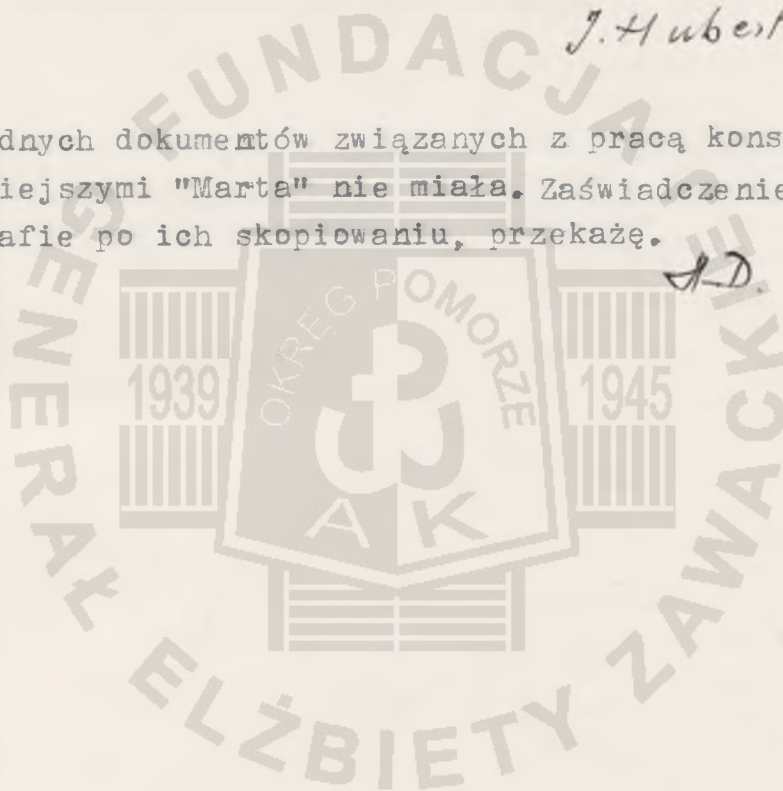
\ "Anna" umarła w 1973 roku.

"Marta" - 18, kwietnia 1981 roku. Pochowana na cmentarzu Komunalnym-Północnym/Wólka Węglowa/.

Alfred Paczkowski, "Wania", w swej książce p.t. "Ankieta cichociemnego" /PAX, Warszawa 1984, wyd. II/ na stronie 255 mówi o "Marcie" jako o poruczniku, szefie Wojskowej Służby Kobiet Mokotowa w czasie Powstania. Mnie w tej książce nazwał "Zawiślakiem", co, odwiedzając go w 1984 roku sprostowałem /"Zawilec"/, rozmawiając o Powstaniu i "Marcie", mej Matce.

J. Hubert Drapella

P.S. Żadnych dokumentów związanych z pracą konspiracyjną, w P.O.W. i późniejszymi "Marta" nie miała. Zaświadczenie ZBOWiD-u załączam. Fotografie po ich skopiowaniu, przekażę.



I/2 Dokumenty

- Zaświadczenie Nr 395050 wydane przez ZBOWiD, W-wa 1976,
mps, rleps, kopia, k.1, s.1



1/2-1

ZWIĄZEK BOJOWNIKÓW O WOLNOŚĆ
I DEMOKRACJĘ
ZARZĄD WOJEWÓDZKI

w Warszawa

ZASWIADCZENIE № 395050

Zarząd Wojewódzki Związku Bojowników o Wolność i Demokrację stwierdza, że

Obywatel [ka] Maria Drapella [imię i nazwisko]
syn [córka] Józefa urodzony [a]
12.04.1902 r. w Sieniawa - ZSRR
[dzień, miesiąc, rok] [miejsowość]
zamieszkały [a] w 02-535 Warszawa, ul. Łowicka 51 m.42

— jest członkiem zwyczajnym ZBoWiD, nr legitymacji * W-23050

~~—~~

Zaświadczenie jest dokumentem stwierdzającym prawo do korzystania ze świadczeń określonych w Ustawie z dnia 23 października 1975 r. „o dalszym zwiększeniu świadczeń dla kombatanów i więźniów obozów koncentracyjnych”, [Dz. U. Nr 34, poz. 186].

Jednocześnie stwierdza się, że w rozumieniu przepisów art. 8 tej Ustawy do okresu zatrudnienia wymienionemu [nej] zalicza się następujące okresy działalności kombatanckiej oraz okresy uwięzienia w hitlerowskich obozach koncentracyjnych:

ruch oporu: luty 1942 - październik 1944 r.

[rodzaj działalności okres od — do]

Łącznie 2 lata, 9 miesięcy

Sekretarz

Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD

wojewódzkiego ZBoWiD

podpis Sekretarza Zarządu
Wojewódzkiego ZBoWiD
i pieczętka służbowa

Antoni Staszewski



Warszawa

Wiceprezes

Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD

podpis Wiceprezesa Zarządu

Wojewódzkiego ZBoWiD

i pieczętka służbowa

mer



20.06.

1976 roku

* niepotrzebne skreślić

II. Dokumenty nie związane bezpośrednio z relacją, ale dotyczące osoby, na której nazwisko została złożona zostałateczka

1) Wspomnienia Huberta Drepelli, syna Marii Drepelli, z okresu po Powstaniu Warszawskim masz. (kserokopia), k. 13, s. 1-13

1.sierpnia próbował Ojciec dostać się na Żoliborz, ale przedczesne strzały na wiadukcie nad Dworcem Gdańskim zawróciły Go do Śródmieścia. Przetrwał w Banku na Karowej do początków września. Niemcy zajmowali sąsiadujący z Bankiem hotel "Bristol" i budynek na tyłach gmachu bankowego. Mimo to pracownicy Banku wspomagali powstańców zupą gotowaną w miejscowej stołówce, do czasu, kiedy do gmachu wkroczyli własowcy i wyrzucili pracowników. Prezes Banku, pan Demby, wychodząc ofiarował Ojcu złoty zegarek "za wierną służbę". Opuszczając biura co kto miał wartościowego: przedmioty własne i z tajnej "giełdy": precjoza, monety, drogie kamienie, wrzucał w szczeliny muru; słychać było, jak zsuwają się gdzieś wzdłuż rur centralnego ogrzewania. Zegarkiem od Prezesa cieszył się Ojciec przez czas potrzebny na zejście na dół, na ulicę, gdzie ciasnym szpalerem stali własowcy i wychodzącym ściągali z rąk obrączki, pierścionki, wyszarpywali z kieszeni wszystko, co wartościowe.

Przydzielono Ojca do brygady roboczej na Woli. Do końca Powstania usuwali gruz z jezdni, rozbierali barykady, trupy nosili najczęściej do największego " cmentarzyska" w rejonie: do podziemi Hali Mirowskiej. Nocowali w kościele św.Karola Boromeusza na Elektorальной.

Po upadku Powstania znalazł się Ojciec w Pruszkowie. Tu prowadzono selekcję spędzonych do hal fabrycznych ludzi. Zdrowych i silnych wysyłano do Rzeszy, słabszych na osiedlenie w Gen.Gub. W składzie selekcyjnej komisji znalazło się dwoje naszych przyjaciół, nie znających się wzajem: Bało Biłatti, zaufany Niemców, mówiący biegle po polsku oraz Magda /nie wiem, czy z własnej woli, co byłoby usprawiedliwione chęcią niesienia pomocy ludziom: była pielęgniarką/, córka pani Machcewiczowej, przyjaciółki Wandy Ochlewskiej, mojej Ciotki. Pomogła lekarzom niemieckim uwierzyć, że Ojciec ma obustronną gruźlicę płuc /bali się Niemcy gruźlicy, jak tyfusu plamistego/. Wygląd Ojca widocznie uwiarygodnił diagnozę stawianą z daleka, bez dotykania pacjenta, skwapliwie poparł ją Biłatti. Ojca wysłano na teren Gubernii. Dojechał do Piotrkowa. Zatrzymał się w domu rodziny Dziadka Józefa, swego teścia.

Mira do ostatniej chwili przebywała w dowództwie Mokołowa, witała przychodzących z Czerniakowa moich kolegów, dowiedziała się, że leżą ranni w piwnicy domu przy ulicy Solec

39. Potem pożegnała "Wanię" idącego na praski brzeg przez Czerniaków. I nastąpiła cisza. Dowódca Mokotowa skierował Mirę do cywilów; wraz z nimi dotarła do Pruszkowa. Niegroźna rana głowy nie uratowała Jej od wywózki do Rzeszy. Uciekła z transportu w Piotrkowie... Dalej - wszystko oczywiste - odtąd byli razem.

Popowstaniowy zjazd warszawiaków w stolicy Gen.Gub. Niemcy usiłowali rozładować administracyjnie i łapankami. Dlatego pisząc do Danki Leśniewskiej nazywa pobyt w Krakowie "chwilowym": był w oczach władz półlegalny.

Leżącym w szpitalu Jana Bożego w Lublinie oznajmiono, że szpital będzie ewakuowany do Hrubieszowa. Sytuacja ze złej zmieniła się na dramatyczną. Adres, numer szpitala w nowym miejscu to tajemnica wojskowa. Teraz już nie mogłem liczyć na pośredni kontakt z Szarytkami, na pomoc Basi i Danusi. Minęło co najmniej trzy tygodnie od czasu, kiedy Irys wyjechała do Warszawy. Może już kogoś z moich spotkała, może podała lubelski adres szpitala, może choć wie, co z moimi bliskimi. Nie mogłem wyjechać. Komendant szpitala nie słuchoał tłumaczeń, prośb. O oznaczonej godzinie, bezpośrednio po ogłoszeniu decyzji, rozpocznie się ewakuacja. Nasze z ranymi będą wyniesione z budynku. Jedni pojedą do Hrubieszowa, a ci, co nie chcą jechać, zostaną na podwórzu na noszach. Było mroźno.

Przeżyłem coś w rodzaju finału sensacyjnego filmu : noszowi opróżniali salę po sali. Któryś ze zdrowszych kolegów wyszedł na miasto, by wezwać opiekujące się nami dziewczęta. Kto będzie pierwszy: noszowi, czy ratunek z miasta? Lekarz naczelny chodził po korytarzach i zaglądał do sali. Rzeczywiście wystawią mnie na śnieg? Lekarz zdawał się być żywo zainteresowany moim podnieceniem, sądził, że skapituluję. Przybiegły dziewczęta, przyszedł ojciec Danusi. Doróżka czekała przed szpitalem. Pojechaliśmy do Szarytek, gdzie miejsce było już zaklepane.

Nie miałem dość wyobraźni. Zdawało mi się, że wracam do siebie, że sprawy toczą się naturalnym trybem. Zostałem przyjęty jako "student", w rozpoznaniu nie było słowa o ranieniu wskutek działań wojennych, a w rubryce "kto ponosi koszt leczenia" napisano "Czł.K." Siostra Przełożona wyjaśniła mi, że jestem na utrzymaniu Sióstr.

Kilka miesięcy później dowiedziałem się, że połowę kosztów ponosiła rodzina Danusi; wówczas zastrzeżono zachowanie tego w tajemnicy przede mną.

Nikt teraz nie był ciekawy mojej powstańczej historii, szpital nie miał z wojskiem nic wspólnego, a co za tym idzie, miał znacznie gorsze zaopatrzenie w medykamenty. Na szczęście moje rany nie wyglądały źle, pozostała jedna "głęboka, poniżej kostki zewnętrznej, gdzie proces osteomyelityczny trwa", jak napisano w karcie szpitalnej. Czułem się bardzo osamotniony. Leżałem wśród cywilów, między rupturami, resekcjami żołądków, w najlepszym razie złamaniami przy poślizgnięciu się na oblodzonych chodnikach. Nie było w epikryzis zwrotów brzęczących stalą, huczących eksplozjami.

W moim rozpoznaniu pierwotnie napisano: *Conquasatio malleoti ...vulnus e.sclopetario*. Słowa szeleszczą, jak lecący pocisk, wybuchają, jak podpalona żagiew. Dwa tysiące lat po swojej śmierci, ten język żyje, wyraża się precyzyjnie, zrozumiale dla wszystkich lekarzy świata. Dwa tysiące lat temu pociski tak samo niosły płomienie, zażęgały pożary, przebiły, rozrywały tkanki, druzgotały kości. "*Vulnus e.sclopetario*" mógł powiedzieć rzymski medyk na widok ugodzonego pociskiem w bitwie pod Cannami.

Rozmarzyłem się nostalgicznie, bo teraz i w moim rozpoznaniu nie było nic groźnego, dramatycznego; nie interesowałem się łaciną na kartach obecnych towarzyszy niedoli, nie było doktora Wiśniewskiego, ordynatora Jaworskiego. Moim lekarzem był teraz doktor Zagryź, niepozorny, ponurawy; z niewiadomych przyczyn nazwany wśród pacjentów "doktor Uduś."

26-go lutego zrobił operację, która miała zakończyć moje lubelskie doświadczenia szpitalne. Po sześciu zabiegach aspirowałem do stanowiska biegłego w sprawach chirurgii, kiedy więc pielęgniarz, bo nie było też anestezyjologa, nieumiejętnie trzymał maskę, zaprotestowałem. Doktor Zagryź warknął: Ucz się pan od doświadczonego. I pielęgniarz od razu się poprawił, po moim krótkim instruktażu.

Ewipan miał opinię narkozy skutecznej i wygodnej: podawano go w zastrzyku dożylnym, działał błyskawicznie: byłeś i już cię nie było. Jednak według naszych obserwacji wywoływał histeryczne stany przy budzeniu się z uśpienia. Chloretyl, niestety tylko do krótkotrwałych zabiegów, i eter nie dawały takich przykrych efektów. Tym razem nie dostałem ani ewipanu, ani nic z tych szlachetnych środków, po prostu mnie du-

szono, dostałem sam ekstrakt obrzydlistwa, chloroform. Na dodatek pielęgniarz, ciągle nieuważny, a po strofowaniu pewno i złośliwy, kiedy długo nie mogłem usnąć, chlusnął na maskę tyle, że zakrztusiłem się i straciłem przytomność. Nareszcie ! Przedtem jednak delektowałem się procesem, który przebiegał, jak dotąd: stopniowe znieczulanie kończyn, mrowienie, drewnienie warg i wreszcie halucynacje słuchowe, wywoływana każdym głośniejszym, przy podawaniu narkozy i szykowaniu narzędzi chirurgicznych, dźwiękiem - fraza perkusyjna. Doktor Wiśniewski twierdził, że sny narkotyczne powtarzają się przy każdej narkozie takie same. Rzeczywiście. Mojego snu nie potrafię opowiedzieć, ale usypiając wiedziałem, że to już znam, przewidywałem, co zdarzy się za chwilę. Natomiast omamy słuchowe, tę frazę perkusyjną, pamiętam wiernie i potrafiłbym to zapisać na nutowym papierze. Doktor Zagryź wyskrobał mi pół pięty, oczyszczono ranę przy kostce i założono gips na głucho; metoda sprzyjająca szybkiemu ziarninowaniu. Pocieszałem się, że pod ciasno przylegający gips nie wliżą mi muchy, których larwy łączące pod opatrunkiem, niedosiężne, przyprawiły mnie dotąd o fiksację. Podano mi kule, zlażłem samodzielnie ze stołu, zawadzając krzywkę o ściany postukałem do łóżka i zażądałem obiadu, bo byłem głodny i musiałem czymś zakąsić odór chloroformu. Ledwie zjadłem, odwiedziła mnie o nietypowej porze Siostra "nocna". Nie zaczęła tym razem wizyty od sprawdzenia, czy palce rannej nogi są jeszcze ciepłe, zapytała natomiast, jak się czuję, tak ogólnie ? Serce, nerwy ? Minę miała taką... Wiedziałem, od razu wiedziałem, kto stoi za drzwiami.

Niełatwą miała drogę do szpitala w Lublinie. Przede wszystkim dojechała do Warszawy. Poszła do domu na Krasińskiego, do mieszkania, którego nie było. Nie było też żadnego śladu, znaku, napisu. Nic. Drzwi oparte o ścianę klatki schodowej, jak je widziałem parę miesięcy temu. Powędrowała na Solec. Zeszła do piwnicy. Wszystko się tam spaliło. Leżeli tam jeszcze. Musiała ich obejrzeć, przyrzec się wszystkim dokładnie. Posuwała się od jednych zwłok do drugich, zaglądała w twarze, a jeśli nie były do niczego ludzkiego podobne, patrzyła na ręce, resztki stroju, buty. Oglądała uważnie, badała drobiazgowo, wnioskowała po szczegółach, nie dopuszczając emocji, nie pospieszając tego przeglądu, żeby czegoś nie przeoczyć, zyskać pewność. Wyszła.

Zrobiło się troszeczkę lżej, ale to dopiero początek. Zdobyła informację, że jakichś rannych z rejonu Wilanowskiej przewożono na drugą stronę Wisły. Może "Wania" był tu wtedy, może pomógł?, pomyślała. Idąc szlakiem tych wieści trafiła do Anina. Chodząc od domu do domu odszukała księdza miejscowej parafii, który niedawno peregrynował między willami zamienionymi na polowe szpitale i przynosił lek najskuteczniejszy: pociechę. Pokazała mu zdjęcie. Ksiądz przypatrywał się długo i markotniał coraz bardziej. Tak, poznawał, był tutaj podobny młody człowiek, ale to nie był pani syn, skoro nosił obrączkę, a mówiła pani, że syn, wskazał na zdjęcie, nie był żonaty. Jaką obrączkę? spytała, bo domyślała się już, docierała do celu. Pamiętała Andrzeja Kostrza handlującego srebrnym złomem, pamiętała, że nosił srebrną obrączkę, nawpół żartobliwy prezent Andrzeja. Srebrną, powiedział ksiądz. Po długiej chwili, kiedy już ochłonęli oboje po tym widomym Znak, powiedział Mirze o transportach do Lublina. Zaczęła się spieszyć. Przed nocą musiała zdążyć na Żoliborz, żeby gdzieś u znajomych przenocować.

Nieco spokojniejsza, bardzo zmęczona wdrapała się na trzecie piętro; chciała jeszcze raz spokojniej popatrzeć na to, co pozostało po Jej domu. Weszła na podest. Na opartych o ścianę drzwiach, pustych przed kilkoma godzinami, widniał wyraźny napis. Dowiedziała się, że jestem. Między zapisaną na drzwiach informacją, a stanem aktualnym, na dziś, myślała, upłynęło kilka, może kilkanaście dni, w czasie których nie huczały pożary, nie waliły się stropy, nie eksplodowały pociski; zwłaszcza tam, gdzie jest. Tam wojny nie ma od paru miesięcy. Więc napewno jest. Prawie napewno, poprawiała się w myślach.

Zaczęła starania o bilet, o miejsce, potem czekała na pociąg, który odjedzie z Warszawy w stronę Lublina.

A potem stanęła za drzwiami sali szpitala Szarytek i słyszała, jak "nocna" Siostra utwierdza się w przekonaniu, że jestem w stanie znieść ten szok nieoczekiwanego szczęścia.

Im więcej o tym myślę, tym bardziej mnie porusza ten proces, dramatyczny ciąg zdarzeń doprowadzający do spotkania. Musiałem zrobić rekonstrukcję akcji, żeby pojąć, jak to się mogło zdarzyć w taki sposób.

Irys wyjechała do Warszawy przed 22. stycznia, zanim

ewakuowano nas ze szpitala Szarytek. Znalazła się w Warszawie, powiedzmy, 24. stycznia, co na ówczesne możliwości byłoby bardzo prędko.

Mira zabiegała o wyjazd dłużej. Od 19. stycznia, kiedy Niemców przepędzono z Krakowa, minął conajmniej miesiąc, nim podróż do Warszawy była możliwa. Ilu ludzi rzuciło się do wagonów, które "być może niedługo, może już jutro" wyruszą z Krakowa, ile razy ponawiała te próby zdobycia miejsca, ile razy i na jak długie godziny pociąg stawał po drodze, a to z braku węgla, a to z powodu uszkodzenia toru, bywało, że i dla wymuszenia na pasażerach zrzutki dla ciężko pracującego maszynisty. Załóżmy, że Mira znalazła się w Warszawie około 20. lutego.

Irys wyprzedziła Ją z górą o trzy tygodnie. Żeby jednak dramaturgia nakreślona była prawidłowo, przez retardację skutecznie wzmagając napięcie, nie pobiegła Irys natychmiast na Żoliborz. Do załatwienia miała najważniejszą sprawę: dowiedzieć się czegoś o losie swej matki. Szukanie w ruinach Starówki, wertowanie napisów na murach, kartek przyszpilonych do ocalałych bram, kikutów drzew, docieranie do znajomych, sąsiadów, którzy już tu byli, ale szukając dachu nad głową może zawędrowali na Ochotę, może Mokotów. A czy to pierwsi spotkani, odnalezieni, od razu wszystko dokumentnie mogli opowiedzieć, co widzieli, słyszeli, co przypuszczają. Jeśli Irys znalazła matkę po 10 dniach, to był sukces. Gdzie mieszkała? Kątem u kogoś, bo mieszkanie w ruinie. Trzeba poszukać teraz czegoś dla nich dwu, żeby gdziekolwiek ukryć się przed mrozem i śniegiem. Potem organizacja bytu, zapewnienie sobie warunków do spania, zdobyć coś do jedzenia, to też trwało. Wiem napewno, że wtedy dopiero Irys mogła i musiała przejść niedawny szlak bojowy "Zośki". Odnaleźć cmentarze na skwerach, trawnikach, podwórkach, dowiedzieć się, kto przeżył, kto jest. I wreszcie przyszła kolej na listę przywiezioną z lubelskiego szpitala. Nawet jeśli Irys moją prośbę postawiła sobie na pierwszym miejscu i dotarła na Krasińskiego 29 najwcześniej, jak mogła, 20-go dnia lutego, to czy weszła na podest trzeciego piętra klatki "D" rano, czy pod wieczór? To już precyzja dramaturgii.

Tego samego dnia Mira szła na Czerniaków z Żoliborza. Może minęła idącą naprzeciw jasnowłosą, bladą dziewczynę, może nawet ulitowała się w myśli nad jej słabością, widząc jak przystaje z braku tchu. Obie poszły w swoje strony. Za cenę upiornej i dramatycznej peregrynacji poprzez rozbite mieszkanie, spaloną piwnicę Solca, kręte ścieżki Anina, cichy pokój proboszczówki i powtórne zmagania z odległością, wreszcie - schodami na trzecie piętro, Mira dostąpiła Łaski. Nie dlatego, że to ja byłem przyczyną Jej trudu i cierpień. Łaską było takie właśnie, przejmujące bólem, nadzieją i radością docieranie, Łaską była droga. Mogłem, oczywiście, siedzieć na podeście trzeciego piętra i powitać Mirę 20. lutego. Ale ja w tym dramacie byłem tylko jednym z elementów akcji. Najważniejsza była Droga ich obu ku sobie. Bez ciężaru tej Drogi finał nie byłoby tak oszałamiający. *A Znak - oczywiście.*

Nie wiele brakowało, a do Krakowa polecilibyśmy samolotem wojskowym. Nie było normalnego połączenia Lublin - Kraków. Nic wtedy nie było jeszcze normalnie. Wybieraliśmy się najdalej, jak można w kierunku Krakowa. Pociąg miał jechać do zburzonego mostu na Sanie. Po drugiej stronie rzeki leżał Rozwadów. Co dalej, dowiemy się na miejscu.

Zwolniono mnie ze szpitala. Od płatnika wojskowego dostałem zieloną karteczkę ze stwierdzeniem, że przez czas od 28. września do 1. lutego 45 "wojskowy Drapella Hubert... żadnych świadczeń pieniężnych nie otrzymał". Musiało to starczyć za dowód tożsamości, przepustkę, legitymację, delegację do Krakowa niedoleczonego wojskowego. A drogi województwa lubelskiego pełne były jeszcze przeróżnych "oddziałów", band, niespokojne i kontrolowane.

Na karcie szpitalnej znajduję ostatni zapis o zwolnieniu mnie "na własną prośbę" do Krakowa, 4. marca. Lekarz nie dodał żadnych wskazówek dotyczących mego stanu zdrowia. Zgadzając się na zwolnienie, nie mógł przecież napisać, że w razie wzrostu gorączki trzeba natychmiast nogę amputować. Powiedział to Mirze. Jeśli w ten sposób doktor Zagryź chciał Ją nastraszyć i odwieźć od zamiaru podróży, to nie poznał się na Niej.

Wyjechaliśmy w mroźny dzień, koło południa. Wagony trzeciej klasy, liczne drzwi otwierające się na każdej stacji, tłum z tobołami w wąskich przejściach.

Późnym wieczorem dojechaliśmy do celu. Żadnej stacji. Ciemno. Z wysokiego stopnia wagonu stojącego na sporym nasypie, z nogą w gipsie omotanym dla ciepła szmatami, wystawiwszy kule przed siebie, skoczyłem prosto w śnieg.

Podróżni zniknęli, nikt nie zatrzymywał się przy pociągu, bo ze zwalonego do Sanu mostu co chwila odzywały się serie sowieckiego cekaemu: załoga posterunku strzelała do wszystkiego, co się ruszało w pobliżu.

Grzęznąc w śniegu ruszyliśmy z Mirą w stronę, skąd dolatywały głosy.

Nocowaliśmy w zatłoczonej izbie, na podłodze, na rzadko rozsypanej słomie. Moja noga w szmatach, wojskowy szynel z czeskimi guzikami, kurtka mundurowa bez dystynkcji /takie dostałem na drogę z magazynu/, mój akcent, mowa, której brakowało tutejszego zaśpiewu - zwracano się do nas ostrożnie, obserwowano podejrzliwie, ale udzielono mi uprzywilejowanego miejsca nawprost otwartych drzwiczek kaflowej kuchni. Grzałem nogę i sennie patrzyłem na setki karaluchów szurających między źdźbłami słomy, delikatnie czułkami poznających to nowe, co zaległo na ich terenie; poczułem do nich sympatię.

Rankiem gromadnie poszliśmy na kamieniste nabrzeże, pewno przystań promową. W głuchym milczeniu patrzyliśmy, jak wielkie zwały kry płyną szybkim nurtem wezbranej rzeki, walią w siebie, trzaskają o brzeg, pękają z hukiem, zatapiają jedna drugą. Żaden z przewoźników nie myślał o przeprawie. Stali w ciżbie przybyszów i patrzyli na groźną rzekę, jak wszyscy. Mira nie rezygnowała. Mój ubiór, ranna - nie ranna noga, obecność matki przy wojskowym, jakoby wojskowym, wreszcie podejrzenie uparte, rozpaczne molestowanie zastanowiło jednego. Może pomyślał, że dla ogólnego dobra, dla bezpieczeństwa wsi, lepiej takiego typu pozbyć się szybko, wywieźć jaknajdalej.

Przeprawa nie trwała długo. Może dziesięć minut. San to nie Wisła. Mira nie umiała pływać, ja z ciężką kłodą zagipsowanej nogi - w razie całkiem prawdopodobnego zgruchotania łodzi przez nacierające ogromne płyty lodowe byliśmy skazani na utonięcie, czy zmiżdżenie, zanim zdążylibyśmy utonąć. Przewoźnik odpychał wiosłami bryły lodu, kręcił łodzią

wśród kry, posuwając się to parę centymetrów, to pół metra ku drugiemu brzegowi. W groźnych momentach za naszymi plecami rozlegały się chóralne zawrozczenia tłumu widzów.

Przez kopny śnieg przewoźnik poprowadził nas do jednego z kilku niedalekich domów, wyprosił dla nas konie. Napojono nas gorącym mlekiem, wsadzono do sań. Pojechaliśmy do odległego o kilometr Rozwadowa. Wiozący nas gospodarz o nic nie pytał. Zatrzymał konie przed kolejarskim domkiem, nieopodal kościoła.

Leżałem w dziecinnym łóżeczku, nogę sterczącą na izbę oparto na stołku.

Pod stopami licznej rodziny pętały się kury i niesforny, łaciaty czarno-biały prosiak. Na wieczór zeszło się sporo gości, wśród nich wikary. Nie zważali na mnie. Debatowali głośno nad szklankami. Zmęczonego księdza odbrowadzili pod mur plebanii, żeby mu pomóc w dyskretnym powrocie.

Pobyt nasz w Rozwadowie przeciągnął się do trzech dni. Wprawdzie pociąg przejeżdżał codziennie do bliskiej Stalowej Woli i po krótkim postoju, ruszając w powrotną drogę gwizdał, co było sygnałem dla rozwadowskich podróżnych, że zaraz tu przystanie, ale ja, na kulach, nie zdążyłem na stację. Trzeciego dnia wyszliśmy więc przed gwizdaniem i parę godzin spędziłem leżąc na biurku zawiadowcy stacji. Miałem czas, by pomyśleć o spotkanych ostatnio ludziach. Może to ja byłem podejrzliwy i osądziłem przewoźnika niesprawiedliwie; może wcale nie chciał się nas pozbyć, a patrząc na mnie i Mirę wyimaginował sobie jakąś historię i uznał, że trzeba nam pomóc. A potem i ten gospodarz z końmi, i kolejarz w Rozwadowie, i zawiadowca stacji, który już nas polecił opiece kolegi czekającego na pociąg. Przekazywali nas sobie jak po sznurku, może jak niedawno, za konspiracyjnych, partyzanckich czasów. Kim by nie byli, trafiliśmy na małomównych, skutecznie i przyjaźnie działających. Uradowała mnie ta refleksja.

Słońce zachodziło czerwono, kiedy nadjechał pociąg. Kolejarze pomogli nam wsiąść do służbowego wagonu, towarowego. Na środku stała żelazna, rozgrzana do czerwoności koza, wokół proste ławki, drugi ich rząd pod zaszyronionymi, szklącymi się deskami ścian.

Ledwie pociąg ruszył, z sąsiedniego wagonu po złączach i stopniu przeszło dwóch sowieckich wojskowych. Major wdrapał się

na obszerną półkę - antresolę, zakutany w kozuch zasnął natychmiast, starszy porucznik /trzy gwiazdki/ usiadł przy kozie, grzał ręce i popatrywał na podróżnych. Prócz Miry i mnie jechało kilka osób; tylko jeden mężczyzna po cywilnemu, reszta w kolejarskich płaszczach. Nie wyjechaliśmy jeszcze z obrębu stacji, gdy rozległy się strzały z maszynowej broni, szybkie kroki, krzyki, szarpnięto drzwi rozsuwane i do środka wskoczył sierżant, za nim wysoki, mocno zbudowany żołnierz. Śmieli się z przygody: zagadali szpetnie do dziewczyny z punktu kontrolnego, a ta bez namysłu pociągnęła za spust. pepeszy. Baby z PK znane były z braku poczucia humoru i zjadłe.

Pociąg jechał do Medyki, po drodze zatrzymując się w Przeworsku. Do września 39 w przeworskiej cukrowni pracował syn przyjaciela Dziadzia Józefa Ochlewskiego, cukrownika jeszcze z Jeziernej. Podtrzymywaliśmy z nimi rzadkie, ale serdeczne kontakty. Jeśli młodych Łękawskich zawierucha nie wymiotła z Przeworska, jeśli ich znajdziemy, zastaniemy, jeśli... to pomogą nam brnąć dalej. Innego sposobu przedostania się z Lublina do Krakowa dla nas nie było. Pierwszy etap mieliśmy już za sobą.

Porucznik rozpiął płaszcz. Na jego mundurze zobaczyłem dwie odznaki Bohatera Związku Radzieckiego; bardzo niewielu zasłużyło dwa razy na to wyróżnienie. Miał oliwkową cerę, wystające kości policzkowe i skośne oczy człowieka Wschodu. Posiłał się. Rozłożonym kozikiem skrobał z puszki mięsną konserwę i popijał z manierki. Kiwał się nad pałającą kozą, ruchy miał powolne, odmierzone i spojrzenie jeszcze trzeźwe. Sierżant, jak się okazało ordynans i ochrona Bohatera, ułożył się przy mnie na ławie pod ścianą, senny. Nie dane mu było pospać. Grisza! zawołał porucznik. Sierżant zerwał się i meldował słuźbiście. Porucznik nawet nie popatrzył, machnął kozikiem i kazał mu spać. Przechylał manierkę i znowu: Grisza! Powtarzało się to w nieregularnych odstępach, zmęczony Grisza przestał wstawać, stękał tylko: Nu, szto... i porucznikowi to wystarczyło. Obejrzał sobie wszystkich i zaczął kolejno wypytywać co robią, gdzie pracują. Zgniewał go cywil, uznał go za dekownika, prawie dezterera. Cywil nie dał się obsobaczać. Podniesionym głosem, ale cierpliwie objaśnił porucznika, że jest kolejjarzem, jak inni w wagonie, że pracuje przy poszerzaniu torów, dla jadących na Zachód,

na front pociągów z wojskowym zaopatrzeniem, czołgami, amunicją. Wymieniał towary długo i przekonująco. Porucznik uznał go, nawet ukłonił się cywilowi głęboko i odwrócił się do mnie. Patrzył uparcie skośnymi, czarnymi oczami. Nie podobalem mu się. Kto jestem, pytał, skąd i dokąd jadę? Namolny, dociekliwy, nie na tyle zamroczony, żeby go zbyć ogólnikami. Pytania padały z rzadka, przerywane skrobaniem w puszcze, popijaniem, sennymi zamyśleniami, wlepianiem oczu w pałający żarem piecyk. Nie wiedziałem jakby zareagować, gdybym mu powiedział, że walczyłem w Powstaniu, że jestem z AK. Zostałem ranny w Warszawie, przewieziony do szpitala w Lublinie, teraz zwolniony na własne życzenie. To musiało mu wystarczyć. W jaki sposób niedoleczonego żołnierza wypuszczono ze szpitala wojskowego, to go interesowało najbardziej. I to, że jadę z matką. Pokpiwał, że ledwie mnie coś "pukło", a już mamusia zabiera do domu. Noga ranna, w gipsie? I do domu? A wiesz ty, kto jest major? zamachnął się w stronę antresoli, to naczelny chirurg frontu; głowę obetnie, przystawi i będziesz zdrowy. O sobie powiedział, że jest komendantem punktu kontrolnego w Medyce i zabierze mnie do Lwowa, do prawdziwego wojskowego szpitala, nie pozwoli mi uciekać do cywila! Mira zaniepokojona pijackim uporem porucznika, zbudziła śpiącego na antresoli; prosiła o interwencję. Major chciał spać; zburczał przyjaźnie starszego lejtnanta. Dał mi spokój, ale co chwila napotykałem jego wrogie spojrzenie. Kiwał się nad swoją puszką z kozikiem w ręce. Pochylił się ku mnie niespiesznie, odwinął szmaty, postukał ostrzem w gips i wykonał gest, jakby mi obcinał nogę.

Przez szpary wcisnęły się do wnętrza słoneczne promienie. Żołnierz rozsunął drzwi.

Nieżżęte zboże przygniecione śniegiem, pootwierane chaty, opuszczone obejścia, czarne koliska wokół wypalonych czołgów, wraki samochodów i żadnego ruchu, nic żywego.

Dojechaliśmy do Przeworska. Porucznik zdawał się nie pamiętać nocnej rozmowy, patrzył obojętnie, kiedy zbieraliśmy się do wyjścia.

O drogę do cukrowni nie trzeba było pytać: z daleka widniały kominy.

Nasz zanjomy, pan Łękawski dyrektorował. Mieszkali przy cukrowni. Zaoferował gościnę. Mogła się przeciągnąć, bo pociągi w stronę Krakowa nie kursowały; może nadarzy się okazja samochodowa.

Dyrektor Łękawski opowiadał o rozstaniu z niemieckim kierownictwem. Opuszczając cukrownię Niemcy dopilnowali demontażu maszyn, a precyzyjne części, bez których szybkie uruchomienie cukrowni byłoby niemożliwe, kazali włożyć do przygotowanej skrzynki; zabierali je ze sobą. Wraz z dopuszczonymi do tajemnicy pracownikami pan Łękawski narychtował dwie skrzynki identyczne; w jednej spoczęły części maszyn, w drugiej złom. Pierwszą Niemcy trzymali przy sobie aż do wyjazdu. Została podmieniona w ostatniej chwili, gdy nie mieli już czasu na sprawdzanie zawartości.

Położono mnie w osobnym pokoju przestronnego mieszkania. Dwaj mali synowie gospodarzy bawili się obok w wojnę; posłuszni rodzicielskim wskazaniom szeptem wydawali rozkazy ołowianym armiom, maszerowali na palcach, a ciche "puch" oznaczało armatnie wystrzały. Przesypiałem całe godziny.

Przyjaciel dyrektora miał wprowadzić samochód, ale zawodowi kierowcy odradzali wyjeżdżanie dychawiczną dekąką na dębiką szosę pełną zasp i wyrw po bombach i pociskach. Front stał tu długo wzdłuż jedynej drogi do Dębicy i Tarnowa. Czekałiśmy ledwie dwa dni. Któraś z miejscowych instytucji wysyłała do Warszawy pustą ciężarówkę. Miała jechać do Tarnowa, a stamtąd dopiero skrócić na północ. Ruszyliśmy z nadzieją, że odszukamy w Tarnowie kogoś z rodziny Ojca.

Po obu stronach pejzaż podobny do tego, który obserwo- wałem z pociągu. Tuż przy jezdni stały słupki z tablicami ostrzegawczymi: rozminowano tylko wąską nitkę szosy. Kierowca, młody człowiek w wojskowym płaszczu bez dystynkcji, obejrzał mnie dyskretnie i nie zadawał żadnych pytań. Jechał szybko i pewnie. Zatrzymał ciężarówkę raz tylko, przed mostem, którego zerwaną nawierzchnię wyłatano luźno leżącymi pniami drzew. Most wisiał nad skutą lodem rzeczką, płynącą w głębokim parowie. Kierowca przeszedł po moście, potupał w chwiejące się nieokorowane pnie, cofnął wóz, rozpędził. Przejechaliśmy słuchając łomotu i trzasku pryskających na boki drągów.

Do Tarnowa dobrnęliśmy po ciemku. Jeden z pierwszych napotkanych przechodni wskazał dom Drapellów. Przed furtką pożegnaliśmy się z kierowcą, który miał umówiony nocleg i rano ruszał prosto do Warszawy.

Potem był obszerny pokój, parawan, którym osłonięto łóżko, jakaś brodata twarz nieznanego krewnego, który nachylał się, by zobaczyć, jak sponiewierali Drapellę.

Nie mierzyłem gorączki, żeby nie wywołać fatalnych następstw. Głowę miałem rozpaloną, leżałem milcząco i półświadomy.

Wczesnym rankiem zbudził nas kierowca ciężarówki. Próbował jechać warszawską szosą, ale ogromna kolumna wojskowa utknęła w zaspach skutecznie tarasując przejazd niedaleko Tarnowa. Wrócił i zamierzał jechać przez Kraków.

W Krakowie jeździe połyskiwały w deszczu. Stanęliśmy przy dorożkach. Żegnając się, kierowca zwrócił się do mnie "panie podchorąży". Nie zdążyłem spytać kim jest, skąd dorożbił się wojskowego płaszcza i posady cywilnego szofera.

Na Cichym Kąciku, w domu Babci Mani Maszewskiej /siostry mego Dziadka, Edwarda Drapella/, czekał Ojciec. Po kąpieli położyłem się w czystej, chłodnej pościeli. Ojciec stanął nad mną przejęty, wzruszony. Nachylił się nagle i pocałował palce nogi sterczące z gipsu. Rozplakał się i szybko wyszedł z pokoju. Dotąd raz tylko widziałem łzy Ojca. Czy teraz była to radość, że przeżyłem, że jesteśmy razem, czy był to płacz "patriotyczny" po tym wymownym pochyleniu. Miałem 19 lat, a w tym wieku wzruszenie własne i cudze traktuje się ironicznie, z przyganą, oschle albo nie zauważa się go wcale.

Cichy Kącik leży na końcu alei ciągnącej się wzdłuż zielonych Błoni. Stały tu sowieckie namioty jednostek sanitarnych i lotniczej. Pole wykorzystywano jako lotnisko dla kukuryżników. Po drugiej stronie jezdni, za torami tramwaju od lat rozłożyły się tereny rekreacyjne i sportowe. Osiedle składało się z kilkunastu willi pobudowanych w dwudziestoleciu. Babcia Mania zajmowała piętro w domu synów: Jana, który zginął w Oświęcimiu i Zygmunta mieszkającego w służbowym mieszkaniu NBP w Krynicy. Wolny parter odnajmowali państwo Baczyńscy, rodzinnie z nami niezwiązani. Przy uliczce prowadzącej od pętli tramwaju miał willę Stryj mego Ojca, Emil; była z nim jego adoptowana córka, której mąż nie wrócił jeszcze z oflagu. Wszyscy tu znali się i podtrzymywali przyjazne stosunki. Moi Rodzice odwiedzali państwa Pischinger; grywali w bridża, traktowani kawą i torcikami, produkowanymi w firmie pana domu. Sąsiadem Dziadka Emila był kolega gimnazjalny mego Ojca, pan Damski, przed wojną właściciel salonu samochodowego, mieszczącego się naprzeciw hotelu "Francuskiego", człek zapobiegliwy i przewidujący: pewnego razu pokazał Ojcu kolekcję numizmatów, złożoną w blaszanych, za-

IV. Korespondencja bieżąca



Prof. dr hab. Elżbieta Zawacka
ul. Gagarina 136 m. 26, tel. 917-188
87-100 77 00 00

Termin 250998
Kopie
Kubus Dwapełka
ul. Podgórska 17A 05822
Milanówek

Szanowny Drogą Pani,

Dziękuję za pasjonujący opis rodzinnego domu państwa,
odpisuję od ręki.

Wprowadzam, Marka i Annę do karto teki 201 m. 09
- kopia PK Archiwum WSK (wojskowy starszy kaptur)
w Terespolu. Będzie również - może już mamy o wiele
normisanki.

Proszę Pana o ochotę opisać biografię wojenne
napisaną u oparciu o zaliczony schemat re-
lacji, o datowaniu dokumentów (może być
wykazanie kopii) i fotografii (możliwa z lat
40-tych). Proszę też o przekazanie danych
(być może nieaktualnych) o innych znanych
kombatantach, np. Heleny Szeleszyńskiej.

Proszę także przesłać mi oddzielny karton.

Bardzo ważna, ale krótka karta wojennej
S. 2, 3 o POW w okresie 1945-1946 - to była dwa-
talność w ramach Pogotowia Spółnego
PKK (Przyr. Wojsk. Robot), którego badamy.

Jeszcze raz dziękuję i serdecznie pozdra-
wiam (również jestem w Poznaniu)

Elżbieta Zawacka

Terleza Drapella man'a

Wpłynęło dnia 22.09.98

L.dz. 1816/17 SU/98

Hubert Drapella
ul. Podgórna 17 A
05/822 Milanówek

17.09.98.

Fundacja Archiwum Pomorskie Armii Krajowej

ul. Garbary 2
87-100 TORUŃ

Od koleżanki z "Parasola" dostałem "Schemat relacji"
i wypełniłem go pośpiesznie: Wasza inicjatywa stworzyła możli-
wości trwałego odnotowania losów osób mi najbliższych :Matki
i Matki chrzestnej. Dziękuję. Choć tak późno, może ta relacja
posłuży Państwu.

2 powariansen

Hubert Drapella

Hubert Drapella
ul. Podgórna 17 A
05-822 Milanówek

Wpłynęło dnia 4. XII.

L.dz. 22.10 / październik 98

30.11.98.

Szanowne Panie

W przesłanych Fundacji wspomnieniach popełniłem błąd: pomogła memu Ojcu w obozie pruszkowskim po Powstaniu nie - Magda Machcewiczówna, a Danuta Leśniewska. Najmocniej przepraszam za błąd. Magda w tym czasie pracowała w szpitalu.

Obie wymienione wyżej panie otrzymały już "Schematy relacji".

Proszę przyjąć wyrazy szacunku i serdeczne życzenia zdrowych, pogodnych Świąt Bożego Narodzenia

Hubert Drapella

MEMORIAŁ

General Marii Wittek

Ldz: 2210
2224 | WSK

kopia

Toruń 23.XI.1998 r.

MEMORIAŁ
General Marii Wittek

Pan Hubert Drapella
ul. Podgórna 17 A
05-822 Milanówek

Szanowny Panie !

Bardzo dziękujemy za cenne informacje na temat Wandy Ochlewskiej i Ireny Kulczyckiej. Dziękujemy również za zachęcenie do współpracy z nami p. Magdy Machcewicz i Danuty Leśniewskiej. Mamy nadzieję, że Panie te wkrótce się odezwą.

Przesyłamy Panu Komunikat Memoriału nr 6 i zapraszamy do dalszej współpracy.

Z wyrazami szacunku

K. Minczykowska

Katarzyna Minczykowska

Dokumentalistka Archiwum WSK

przy Fundacji „Archiwum Pomorskie AK”

*czy dam numerowo na kartach
"a", "i", "4" ?
może być*

Hubert Drapella
ul. Podgórna 17 A
05-822 Milanówek

Wpłynęło dnia 9. XI. 98
Ldz. 2224 / WSK / 98

3.11.98.

Szanowne Panie,

Dzięki serdeczne za list i zaproszenie. Niestety, do Torunia nie przyjadę. Z powodów rodzinnych i po trosze zdrowotnych rzadko wyruszam z naszego domu. Żałuję, bo temat sesji pasjonujący, no i byłaby okazja przedstawić się Paniom.

Wanda Ochlewska była żoną starszego brata mej Matki, Józefa, który umarł w 1923 roku. Mimo ukończenia studiów, zmuszona warunkami, musiała iść do pracy. Pracowała w Banku Angielsko-Polskim, po fuzji - w Banku Handlowym. Mieszkała z synem, Andrzejem, z nami, Dziadkami i Haliną, siostrą Miry. Stąd moja bliższa zażyłość z Andrzejem, niżby na to wskazywały powiązania rodzinne. O ile mi wiadomo Wanda nie brała czynnego udziału w pracy konspiracyjnej ani w czasie wojny i okupacji, ani po 45-ym roku. Pochodziła ze spolszczonej rodziny niemieckiej z Górnego Śląska, Applów. Zachowały się jakieś tradycje w postaci pamiątnika któregoś z jej przodków, zdjęcie chyba pradziadka w mundurze niemieckim i wielkiej czapie z trupa główką: był podkomendnym Augusta von Mackensena, feldmarszałka, głośnego jeszcze z wojny 1870 r. i I-ej Światowej; jednak żadnych proniemieckich nastrojów; i ona, i jej brat, inżynier hutnik /?/, i siostra - adwokat, byli Polakami, patriotami. Kiedy aresztowano syna Wandy, Andrzeja w 1942 roku, miała tyle odwagi, żeby pójść na Szucha "dowiedzieć się" od prowadzącego sprawę, co z Andrzejem; wyroku śmierci nie dostał, tylko bezterminowe uwięzienie w kazecie po rocznym przesiedzeniu w pojedynce na Pawiaku. Przeżył. Po wojnie Wanda pracowała w Banku we Wrocławiu.

Magdzie Machcewicz i Danucie Leśniewskiej przesyłam kopie "Schematu relacji", "Irys"-Irena Kulczycka umarła 21.04.98, o czym dowiedziałem się dzisiaj, i co zupełnie mnie zaskoczyło. Faktem, że od wielu lat nie miałem z nią kontaktu. Los zetknął nas w szpitalu po Powstaniu, potem widywaliśmy się w Warszawie. Wyciągam ze swoich wspomnień fragmenty tekstu jej dotyczących i przekazuję kol. Stanisławowi Sieradzkiemu, "archiwariuszowi" "Zośki" i przy tej okazji poproszę go, by, co wie o działaniu Ireny, jako jej kolega powstańczy, przesłał do Archiwum. Irenę pochowano na cmentarzu komunalnym - północnym w Warszawie.

I to wszystko, co mogę napisać. Postaram się zachęcić znajome panie Magdę i Danę, by nawiązały kontakt z Archiwum, choćby wypełniając "Schemat".

A i jeszcze, o Władysławie Drapella. Nie znam go osobiście. Kilka ~~lat~~ lat temu /?/ napisał do mnie z jakimiś rodzinnymi pytaniami, pisał o swej działalności : pracownik naukowy Szkoły Morskiej , drukujący w tamtejszej prasie, jego żona, zdaje się Zofia, Drapella też pisząca, wydała książkę o morskich "zagadkach". Syn drx hab. inż. prof. w Instytucie Elektroniki Polit. Gdańskiej. Z niejakim rozbawieniem wymieniam te szczegóły, bo widać to rodzinne u Drapellów: mój Ojciec też kiedyś /ale raz tylko/ jakiś tam skrót przed nazwiskiem do mnie pisząc zamieścił. Ot i tyle.

Jeszcze raz dziękuję serdecznie za listy, za informacje, za to, że takim jak ja stwarzacie Panie szanse jakiegoś odnotowania nie banalnej przeszłości z naszej nie banalnej historii.

Przez przyjęcie wyrazu szacunku

Hubert Drapella

Hubert Drapella
ul. Podgórna 17 A
05-822 Milanówek

Wpłynęło dnia 27.10.98
Ldz 1990/MSK/98
20.10.98.

odp. 1190/WSK/98

Archiwum WSK przy Fundacji Archiwum Pomorskie
Armii Krajowej

Dziś w archiwum cmentarza powązkowskiego /d.wojskowego/, udało mi się znaleźć kilka danych pani Heleny Sieleżyńskiej: córka Aleksandra Romaszkiewicza i Eufrozyny Romaszkiewicz, ur. 23.12.1897 r. w Równem /Wołyń/. Ostatnio /po wyjściu z więzienia, a więc około 1957 r./ zamieszkała w Warszawie przy ul. Bruna 22 m.73.

Umarła ~~w szpitalu~~ ^{27.08.1979} na Lindleya i została pochowana na cmentarzu powązkowskim /d.wojskowym/, przy mężu Marianie Sieleżyńskim. Grób oznaczony: A 19 - 4 - 16. Numer kolejny w spisie pochowanych 7634/79 i pod tą sygnaturą znajdują się w kancelarii cmentarza dane, które wypisałem powyżej.

Hubert Drapella

Toruń 26.X.1998r.

MEMORIAŁ

General Marii Wittek

L.dz.: 1990/M 56/98

kopia

Odpowiedz na list

1916/WSK/98

1958/WSK/98

Pan Hubert Drapella
ul. Podgórna 17 A
05-822 Milanówek

Szanowny Panie !

Bardzo dziękujemy za przysłanie do naszego Archiwum materiałów (zdjęcia również już nadeszły) dotyczących Pańskiej Matki, Marii Drapella i Ciotki, Anny Haliny Koperskiej. Założyliśmy obu Paniom, w naszym Archiwum,teczki osobowe nr inw. 920/WSK i 1303/WSK.

We fragmentach swoich rodzinnych wspomnień pisze Pan o Ochlewskiej Wandzie, Magdalenie Machcewicz, Danucie Leśniewskiej i o IRYS. Czy mógłby Pan napisać o Nich coś więcej ? Bylibyśmy bardzo wdzięczni.

Jeszcze raz za wszystko dziękujemy i zapraszamy do dalszej współpracy.

Z wyrazami szacunku

Katarzyna Mińczykowska

Dokumentalistka Archiwum WSK

przy Fundacji „Archiwum Pomorskie AK”

Szanowny Panie,

Serdce mi pozdrawiam oczekując na datę materiałów. Czy znamy Pana w rodzinie, if Drapella z Gdyni?
Esterke Zewallo

24 X 98

P.S. Właśnie nadeszły kolejne informacje od Pana, na temat p. H. Szelezynskiej, za które bardzo dziękujemy i zapraszamy do dalszej współpracy.

K. Mińczykowska

Wpłynęło dnia 21.10.98
L.dz. 1958/MSK/98

20.10.98

Archiwum NKU Fundacji Archiwum
Pomorskiego Amisii Krajowej

Przesyłam zapowiadane fotografie
"Marty" - Marty z Ochleńskich Drapella
i "Anny" - Anny Staliny z Ochleńskich
Koparskiej.

Ciekawostka: "podrzucone" "Anny" i "Marty"
w swej formie są reproduktowane ze zdjęć wpiętych do białobł
framwafornych wiszących na m-c lipiec 1944!!
Fotografie zrobione, zapewne, ok. roku 1939-41, a "Marty"
w fotelach ok. roku 1942-3.

Serdecznie pozdrawiam. O p. Silleriińskiej
postaram się w tych dniach na ementarze zdobyć
bliźnie informacje.

Hubert Drapella

Wpłynęło dnia 13.10.98
L.dz. 1946/M.94/198 D.W.

7.10.98.

Wielce Szanowna Pani;

Serdecznie dziękuję za list, za życzliwość.

To ostatnie prowokuje mnie do nadprogramowego zajęcia Pani uwagi: do listu dołączam, oprócz rzeczowych danych, kilka stron wyjętych z moich rodzinnych wspomnień, opisu, charakteryzującego bliskie mi osoby.

Żał mi ogromnie, że nie jestem w stanie podać dokładniejsz~~ych~~zych informacji o "Marcie" i "Annie", a także pani Helenie Sieleżyńskiej /mówiono o niej "Nina"/. Wszystko, co domnie docierało i zapamiętałem, starałem się wiernie zapisać. Rozumiejąc potrzeby archiwalne rozdzieliłem dane dotyczące obu Pań, odszukam też i skopiuję jakieś dokumenty; może odnajdę i fotografie z interesującego Panią okresu. Ale to musi potrwać.

Pisząc swoje, rodzinne wspomnienia /jest tego z fragmentami listów ponad tysiąc stron !/ wiele razy dosłownie zrywałem się od biurka, żeby biec do kogoś o wyjaśnienie ~~okoliczności~~, sprawdzenie dat...Niestety, nikogo z nich już nie było. Dokumenty, korespondencję /z czasu okupacji listów kilkadziesiąt, z lat późniejszych - kilkaset/ razem z fotografiami przejąłem po śmierci Matki i Jej brata, Tadeusza Ochlewskiego, który był wiernym "epistolografem" zwłaszcza swej siostry, Hali /"Anny"/. Nie żyli już ani płk Józef Rokicki, "Karol", d-ca Mokotowa, zwierzchnik "Marty" w Powstaniu, ani major Tyski. Zamurowane dokumenty, o których pisałem, są dziś zupełnie niedostępne, jeżeli istnieją, bo może zostały zniszczone, kiedy moje Panie wracały do Warszawy w 1973 roku.

Przeglądając teraz na nowo korespondencję mogę uściślić, że zacierając ślady obecności pani Heleny Sieleżyńskiej we Wrocławiu, została ona zameldowana u Tadeuszosstwa Ochlewskich w Krakowie i tam złożono jakieś jej rzeczy, żeby uprawdopodobnić jej tam pobyt /razem wywieziono moje pamiątki z Powstania, żeby nie "obciążało" naszego domu !/ Hala pisała 23.II.49 do brata, żeby zrobił adnotację w książce meldunkowej o wymeldowaniu "pani N.", a odcinek meldunkowy Hala przesyła przyjaciółce do Warszawy, żeby dotarł do rąk pani Heleny, jako że "zapomniała go zabrać z Krakowa." Ten nabudowany kamuflaż zdał się nie na wiele, ale bezcenne dla bezpieczeństwa naszej rodziny było zupełne milczenie pani Heleny. Jej rzeczy w Krakowie /razem z moją przestreloną panterką niemiecką, domyślam, że niewygodną w śledztwie dla pani Sieleżyńskiej/ubecy opieczętowali w szafie, a potem ukradli. Po odsiedzeniu całego wyroku /siedem, czy osiem

lat/ pani Helena mieszkała w Warszawie. Umarła w latach siedemdziesiątych, pochowana jest na powązkowskim, wojskowym cmentarzu. Byłem na jej pogrzebie wraz z żoną i "Martą". Potem chyba raz jeszcze odwiedzałem jej grób, a-le po paru latach nie potrafiłem go odnaleźć. Przy okazji spróbuję dowiedzieć się o wszystko możliwe na cmentarzu, gdzie bywam czasem.

Muszę też wyjaśnić dlaczego tak mało wiem o działalności Matki w P.O.W.. Nic mi Mira /"Marta"/o pobycie we Lwowie nie opowiadała. To należało widocznie do dobrego tonu w rodzinie: nie mówiło się o wojnach, konspiracji, ciężkich przejściach związanych z okresem wojen, czy okupacji, a jeśli już, to o jako mało znaczącym epizodzie, najczęściej z prześmiewką. Podobnie nie wiem nic o udziale mego Ojca w I-iej światowej, a zaczął ją jako "Fährich", a kończył jako oficer w II-iej legionowej; z eskapady Jego brata, wojacze we Włoszech, opowiadano jakieś niestworzone anegdoty, bardzo ucieszne; o szyfranckich "studiach" Pań też nie wiedziałem. Szukając z Matką czegoś w przepastnej szufladzie starej szafy trafiłem na Medal Niepodległości, więc spytałem, co to. Wymigła się jakimś dowcipem; bodaj, że z tym okresem i Jej działaniem w P.O.W. wiązała się osoba pana, który asystował wtedy pięknej pannie Mirze i na jego temat /kilka razy w latach trzydziestych nas odwiedzał/ razem z całym tym powiackim działaniem rodzina dowcipkowała.

W 1939 roku wróciliśmy z nad Dniestru, z pierwszego wspólnie /Rodzice i ja/ spędzonego urlopu, w ostatnich dniach lipca. Dzień, czy dwa potem Ojciec przyniósł z Banku maski gazowe. Zaczął się ruch w oczekiwaniu na spodziewany, rychły wybuch wojny. Mój Ojciec chrzestny, dwóch Wujków, kilku przyjaciół Rodziców - to byli oficerowie służby czynnej i tak się złożyło, że widzieli sytuację trzeźwo. Chyba dopiero wtedy, w sierpniu Mira kuła wiadomości o gazach bojowych, o pomocy rannym, czy zatrutym - z jakichś broszur, maszynopisów; pamiętam Jej niepokój, czy aby zda egzamin. Zdała i zaczęła bieganie po warszawskich kinach ze swymi pouczeniami. I znowu był powód, żeby z tego robić dowcipy. Ja, nieraz do późna w nocy, dyżurowałem w Komendzie Harcerstwa, najczęściej przy telefonicznej centrali; czułem się ważny, a z tych Miry wykładów imponowało mi, że ma odwagę mówić do "tłumu". Podziwiałem Ją zawsze, była moim najlepszym przyjacielem i powiernikiem, ale na zwierzenia o sprawach "bohaterskich" jakoś nie było czasu i nastroju. W październiku 39-go roku składałem przysięgę, jednocześnie uczyłem się sam, potem na kompletach i biegałem na wywiadowcze "spacery" do niemieckich obiektów; od 42-go doszły

do tego obowiązki sodalicyjne, "techniczna" pomoc w gospodarowaniu, jazdy na noclegi do kolejnych mych "kwater", kiedy się ukrywałem, udawanie nauki w jakimś handlowym liceum, potem i podchorążówka. Na opowieści nie starczało ani czasu, ani siły, zezwolenia też nie było. A potem przyszły najpiękniejsze dni mojego życia - Powstanie, po nim szpitale, studia, w parę dni po obłronie pracy - wyjazd do Łodzi, do pracy. Umarł Ojciec, parę lat potem Franek, mąż Hali /"Anny"/, Hala przestała chodzić /Parkinson ?/, Mira póki sił opiekowała się nią, sama opanowywana przez SM, a ja w Łodzi, potem w Warszawie usiłowałem bywać artystą. I wtedy też nie było czasu na wspomnianie.

Teraz jest !

Ze strachem myślę, że tak wiele i ja, i tysiące nas zmarnowało okazji, pozwoliło bezpowrotnie zginąć komórkom tworzywa, z którego mogła powstawać prawdziwa kronika polskiej historii.

Proszę mi wybaczyć ten patos, ale to szczere.

*Proszę przyjść wyrazi najserdeczniejsze
szacunku i podziwu dla Pańi działań
i dokonań*

Hubert Drapella

Ogromne post scriptum:

W 1965 roku moja żona pracowała w mieszanej polsko-radzieckiej ekipie filmowej. Jako że znana z bolesnej prawdomówności, trafiono do Niej z pytaniem: inteligentna fotosistka, Rosjanka, chciała się dowiedzieć, kiedy Lwów został przyłączony do Związku Radzieckiego, a może do Rosji ? Bo że kiedyś był Bolski, to słyszała.

W 1978 roku na plaży w Picundzie, jako prywatny wczasowicz, poznałem nad podziw skromnie i kulturalnie zachowującego się, chyba starszego ode mnie, profesora psychiatrii z uczelni moskiewskiej. Dowiedziawszy się że Warszawiak i z Powstania, zapytał, ilu było tych z Armii Ludowej /znał tę nazwę/. Doliczyłem się ~~określenie~~: 200. A z A.K. ? Mówię, że około 40.000. Pokłonił mi się nisko i szczerze dziękował: bardzo jestem wam wdzięczny, wszystko teraz zrozumiałem...

Kłócimy się o miedze, a uczymy w szkołach prawdy o naszej przeszłości ? Jak mają nas zrozumieć ci ze Wschodu, czy z Zachodu. Przekonywuje ich Balcerowicz.

DRAPELLA Maria

V. Nazwiskowe karty informacyjne

T. 1303

++

Drapella Maria ^{ps. Marta} (1902-1981)
2 d Ochlewska

adres sygn. 05 822 Misłanów
~~Ansarta~~ ul. Podgórska 17A

odpisy 5, 3, 6, 7, 9

pełny opis

ε

FK
W-100

Drapella Maria

zob.

1939

OKREG POMORZE

1945

Paczkowski A., Ankieta ciuchociemnego,
Warszawa 1984, s. 255

K. Miu'98

i

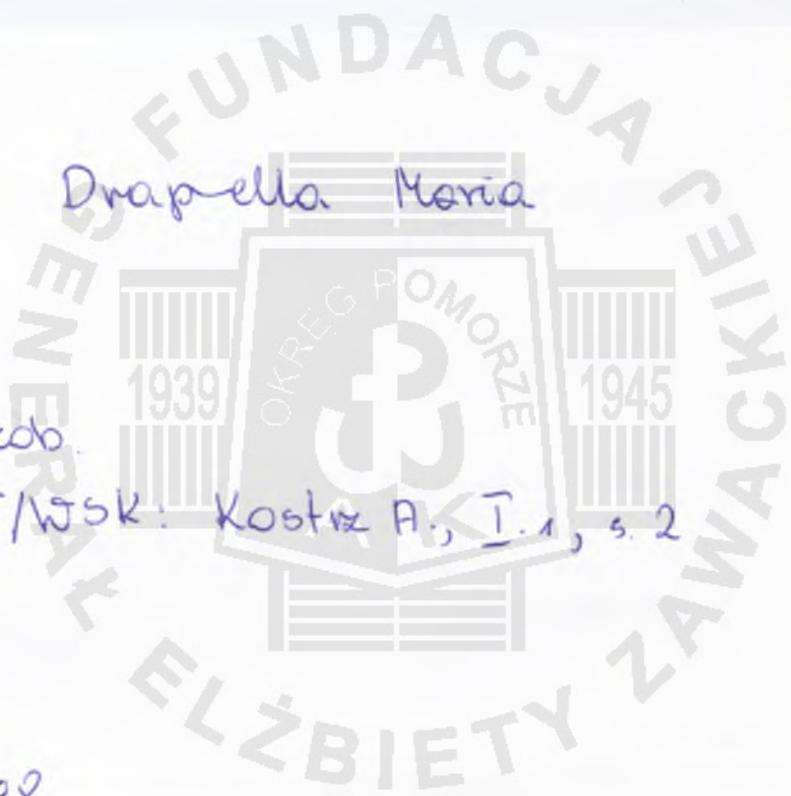
AK
W-wa

Drapella Maria

zob.

T/WSK: Kostur A., T. 1, s. 2

K. Min'98



i

T. 1303

AK
W-100.

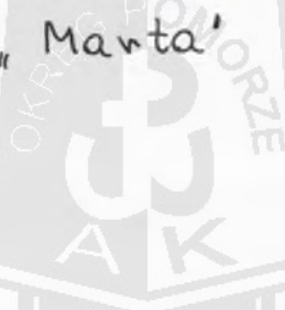
DRAPELLA Maria

zd. Ochlewska

ps. "Marta"

1939

1945



K. Min'98

DRAPELLA Maria

VI. Fotografie 1945



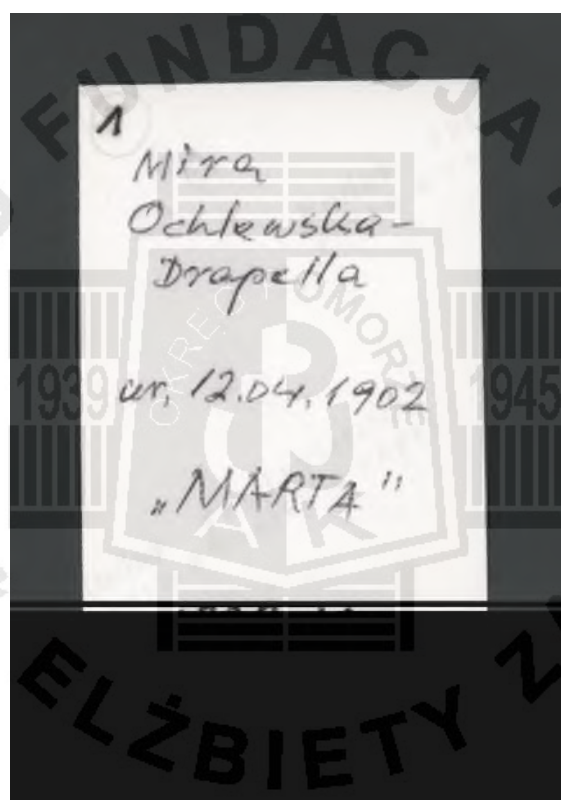
Drapalla Maria
ps. "Marta"

1. zdj. (reprodukcja),
ok. 1939-1941, 1 szt.

2. zdj. (reprodukcja),
ok. 1942-43, 1 szt.

Łącznie 2 szt.







(2)

Mira Ochlenstein
Drapelta

nr. 12.04.1902 r.

"MARTA"

ok. 1942-43

~~97~~

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI - DRAPELLA Maria
zd. Ochlewska

γ. 1303/WSK

I/1. Relacja ✓

I/2. Materiały uzupełniające relację ✓

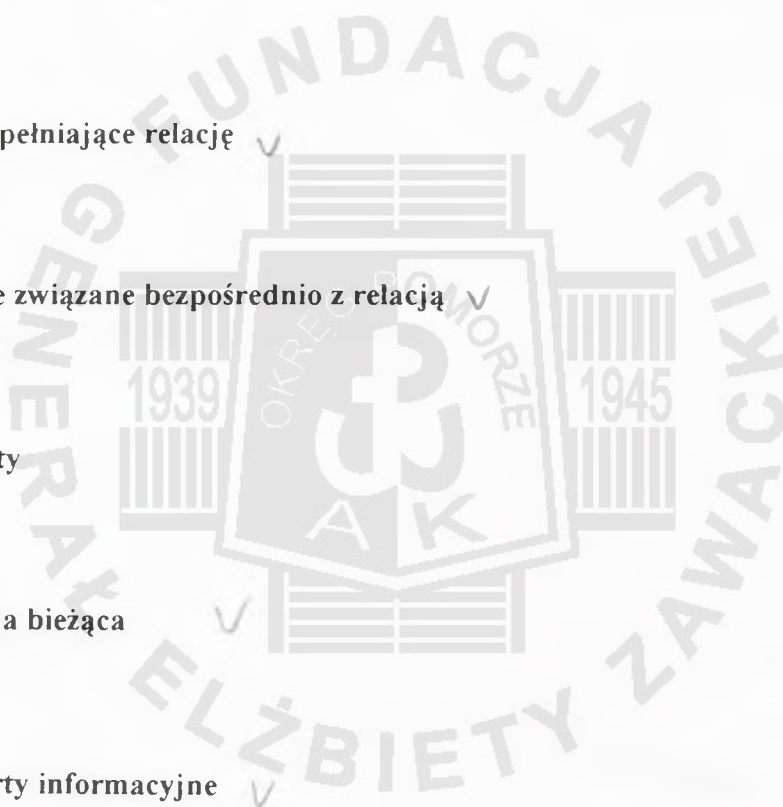
II. Dokumenty nie związane bezpośrednio z relacją ✓

III. Inne dokumenty

IV. Korespondencja bieżąca ✓

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓

VI. Fotografie ✓



I.1. Relacja

① masz. (kopia), k. 10

② masz. (org.), k. 3



I. 2. Materiały uzupełniające

- Zaświadczenie Nr 395050,
kopia, k. 1, s. 1



DRAPPELLA Maria



Zakład Produkcyjny w Legnicy
TECZKA DO AKT
SWW 1824-331 ZN-96/1

